

# SKLEPY CYNAMONOWE

BRUNO SCHULZ\*

## SIERPIEŃ

1 W lipcu ojciec mój wyjeżdża do wód i zostawia mnie z matką i starszym bratem na pastwiskach białych od żaru i oszoabiających dni letnich. Wertowaliśmy, odurzeni cewiatem, w tej wielkiej księdze wakacji, której wszystkie karty pały od blasku i miały na dnie sodki do omdlenia mięsz zoty gruszek. Adela wracała w cewietliste poranki, jak Pomona z ognia dnia rozżagwionego, wysypując z koszyka barwną urodę słońca-lonice, pene wody pod przejrzystą skórę czerecienie, tajemnicze, czarne wienie, których woń przekraczała to, co ziszczao się w smaku; morele, w których mięszu zotym by rdzeń dugich popołudni; a obok tej czystej poezji owoców wyadowywała nabrzmiała się i pożywność patki mięsa z klawiatur żeber cieliących, wodorosty jarzyn, niby zabite gowonogi i meduzy-surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nie uformowanym i jaowym, wegetatywne i telluryczne ingrediencje obiadu o zapachu dzikim i polnym. Przez ciemne mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy w rynku przechodziło co dzień na wskroś całe wielkie lato: cisza drgających sojów powietrznych, kwadraty blasku cennie żarliwy swój sen na pododze; melodia katarynki, dobytą z najgłębszej zotej żuy dnia; dwa, trzy takty refrenu, granego gdzieś na fortepianie, wciąż na nowo, mdlejące w słońcu na białych trotuarach, zagubione w ogniu dnia głębokiego. Po sprztaniu Adela zapuszczała cię na pokoje, zasuwając pocienne story. Wtedy barwy schodziły o oktawę głębiej, pokój napienia się cieniem, jakby pogrążony w cewiato głębi morskiej, jeszcze mętniej odbity w zielonych zwierciadach, a cały upa dnia oddychał na storach, lekko falujących od marzeń południowej godziny. W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępował się od razu w słoneczny kpiel dnia. Przechodnie, brodząc w zocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalepione miodem, a podcignięta górna warga odsaniała im dzisa i zęby. I wszyscy brodcy w tym dniu zocistym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę samą maskę-zot maskę bractwa słonecznego; i wszyscy, którzy szli dzieć ulicami, spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i kobiety, pozdrawiali się w przejściu tej maski, namalowanej grubą, zotą farbą na twarzy, szczerzyli do siebie ten grymas bakchiczny-barbarzyński maski kultu pogańskiego. Rynek był pusty i żóty od żaru, wymieciony z kurzu gorcymi wiatrami, jak biblijna pustynia. Cierniste akacje, wyrosłe z pustki żótego placu, kipiły nad nim jasnym listowiem, bukietami szlachetnie uczonekowanych filigranów zielonych, jak drzewa na starych

\*PDF created by pdfbooks.co.za

gobelinach. Zdawao siê, że te drzewa afektuj wicher, wzburzajc teatralnie swe korony, ażeby w patetycznych przegiêciach ukazaæ wytwomoceæ wachlarzy listnych o srebrzystym podbrzuszu, jak futra szlachetnych lisic. Stare domy, polerowane wiatrami wielu dni, zabawiay siê refleksami wielkiej atmosfery, echami, wspomnieniami barw, rozproszonymi w gêbi kolorowej pogody. Zdawao siê, że cae generacje dni letnich (jak cierpliwi sztukatorzy, objajcy stare fasady z pleceni tynku) obtukiway kamliw glazurê, wydobywajc z dnia na dzieñ wyraŹniej prawdziwe oblicze domów, fizjonomiê losu i Źycia, które formowao je od wewntrz. Teraz okna, ocelepione blaskiem pustego placu, spay; balkony wyznaway niebu sw pustkê; otwarte sienie pachniay chodem i winem. Kupka obdartusów, ocalaa w kcie rynku przed pomienn miot upau, oblegaa kawaek muru, docewiadczajc go wciŹ na nowo rzutami guzików i monet, jak gdyby z horoskopu tych metalowych krŹków odczytaæ moŹna byo prawdziw tajemnicê muru, porysowanego hieroglifami rys i pêkniêæ. Zreszt rynek by pusty. Oczekiwo siê, że przed tê siê sklepion z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejcych siê akacyj osioek Samarytanina, prowadzony za uzdê, a dwóch pachoków zwlecze troskliwie chorego mêŹa z rozpalonego sioda, ażeby go po chodnych schodach wnieœæ ostroŹnie na pachnce szabasem piêtro. Tak wêdrowalioemy z matk przez dwie soneczne strony rynku, wodzc nasze zaamane cienie po wszystkich domach, jak po klawiszach. Kwadraty bruku mijay powoli pod naszymi miêkkimi i paskimi krokami—jedne bladoroŹowe jak skóra ludzka, inne zote i sine, wszystkie paskie, ciepe, aksamitne na soñcu, jak jakieœ twarze soneczne, zdeptane stopami aŹ do niepoznaki, do bogiej nicoœci. AŹ wreszcie na rogu ulicy Stryjskiej weszliœmy w cieñ apteki. Wielka bania z sokiem malinowym w szerokim oknie aptecznym symbolizowaa chód balsamów, którym kaŹde cierpienie mogo siê tam ukoiaæ. I po paru jeszcze domach ulica nie moga juŹ utrzymaa nadal decorum miasta, jak chop, który wracajc do wsi rodzimej, rozdziewa siê po drodze z miejskiej swej elegancji, zamieniajc siê powoli, w miarê zbliŹania do wsi, w obdartusa wiejskiego. Przedmiejskie domki tonêy wraz z oknami, zapadniête w bujnym i zagmatwanym kwitnieniu maych ogródków. Zapomniane przez wielki dzieñ, pleniŹ siê bujnie i cicho wszelkie ziela, kwiaty i chwasty, rade z tej pauzy, któr przeceniæ mogy za marginesem czasu, na rubieŹach nieskoñczonego dnia. Ogromny sonecznik, wydŹwigniêty na potêŹnej odydze i chory na elephantiasis, czeka w Źótej Źaobie ostatnich, smutnych dni Źywota, uginajc siê pod przerostem potwornej korpulencji. Ale naiwne przedmiejskie dzwonki i perkalikowe, niewybredne kwiatuszki stay bezradne w swych nakrochmalonych, róŹowych i biaych koszulkach, bez zrozumienia dla wielkiej tragedii sonecznika.

2 Spltany gszcz traw, chwastów, zielska i bodiaków buzuje w ogniu popoudnia. Huczy rojowiskiem much popoudniowa drzemka ogrodu. Zote œciernisko krzyczy w soñcu, jak ruda szarañcza; w rzêsistym deszczu ognia wrzeszcz œwierszcze; strki nasion eksploduj cicho, jak koniki polne. A ku parkanowi koŹuch traw podnosi siê wypukym garbem-pagórem, jak gdyby ogród obróci siê we œnie na drug stronê i grube jego, chopskie bary oddychaj cisz ziemi. Na tych barach ogrodu niechlujna,

babska bujnoœæ sierpnia wyolbrzymiaa w guche zapadliska ogromnych opuchów, rozpanoszya siê patami wochatych blach listnych, wybujajmy ozorami miêsiestej zieleni. Tam te wyupiaste pauby opuchów wybauszyy siê jak babska szeroko rozsiade, na wpó po¿arte przez wasne oszalaæ spódnice. Tam sprzedawa ogród za darmo najtańsze krupy dzikiego bzu, œmierdze mydem, grub kaszê babek, dzik okowitê miêty i wszelk najgorsz tandetê sierpniow. Ale po drugiej stronie parkanu, za tym matecznikiem lata, w którym rozrosa siê gupota zidiociaych chwastów, byo œmietnisko zaroso dziko bodiakami. Nikt nie wiedzia, ¿e tam waenie odprawia sierpni tego lata swoj wielk pogańsk orgiê. Na tym œmietnisku, oparte o parkan i zaroceniête dzikim bzem, stao ó¿ko skretyniaej dziewczyny Tui. Tak nazywalicemy j wszyscy. Na kupie œmieci i odpadków, starych garnków, pantofli, rumowiska i gruzu stao zielono pomalowane ó¿ko, podparte zamiast brakujcej nogi dwiema starymi cegami. Powietrze nad tym rumowiskiem, zdziczaæ od ¿aru, ciête byskawicami lœniczych much końskich, rozwœcieczonych soñcem, trzeszczao jak od nie widzianych grzechotek, podniecajc do szau. Tuja siedzi przykucniêta wœród ¿ótej poœcieli i szmat. Wielka jej gowa je¿y siê wiechciem czarnych wosów. Twarz jej jest kurczliwa jak miech harmonii. Co chwila grymas paczu skada tê harmoniê w tysic poprzecznych fad, a zdziwienie rozciga j z powrotem, wygadza fady, odsania szparki drobnych oczu i wilgotne dzisa z ¿ótyimi zêbami pod ryjowat, miêsiest warg. Mijaj godziny pene ¿aru i nudy, podczas których Tuja gaworzy pógosem, drzemie, zrzêdzi z cicha i chrzka. Muchy obsiadaj nieruchom gêstym rojem. Ale z naga ta caa kupa brudnych gaganów, szmat i strzêpów zaczyna poruszaæ siê, jakby o¿ywiona chrobotem lœgnych siê w niej szcurów. Muchy budz siê sposzone i podnosz wielkim, huczycym rojem, penym wœciekego bzykania, bysków i migotañ. I podczas gdy gagany zsyputuj siê na ziemiê i rozbiegaj po œmietnisku jak sposzone szczury, wygrzebuje siê z nich, odwijaj zwolna jdro, wyuszcza siê rdzeñ œmietniska: na wpó naga i ciemna kretynka dŸwiga siê powoli i staje, podobna do bo¿ka pogańskiego, na krótkich dziecinnych nó¿kach, a z napêczniaej napywem zoœci szyi, z poczerwieniaej, ciemniejcej od gniewu twarzy, na której jak malowida barbarzyñskie wykwitaj arabeski nabrzmiaych ¿y, wrywa siê wrzask zwierzêcy, wrzask chrapliwy, dobyty ze wszystkich bronchij i pizszaek tej pózwierzêcej-póboskiej piersi. Bodiaki, spalone soñcem, krzycz, opuchy puchn i pyszni siê bezwstydny miêsem, chwasty œlini siê byszczycym jadem, a kretynka, ochrypa od krzyku, w konwulsji dzikiej uderza miêsiestym onem z wœciek zapalczywoœci w pieñ bzu dzikiego, który skrzypi cicho pod natarczywoœci tej rozpustnej chuci, zaklinany caym tym nêdzarskim chórem do wynaturzonej, pogańskiej podnoœci. Matka Tui wynajmuje siê gospodyniom do szorowania podóg. Jest to maa, ¿óta jak szafran kobieta i szafranem zaprawia te¿ podogi, jodowe stoy, awy i szlabany, które w izbach ubogich ludzi zmywa. Raz zaprowadzia mnie Adela do domu tej starej Maryœki. Bya wczesna poranna godzina, weszlicemy do maej izby niebiesko bielonej, z ubit polep glinian na pododze, na której le¿ao wczesne soñce, jaskrawo¿óte w tej ciszy porannej, odmierzanej przeraŸliwym szczêkiem chopskiego zegara na œcianie. W skrzyni na somie le¿aa gupia Maryœka, blada jak opatek i

cicha jak rękawiczka, z której wysunęła się doń. I jakby korzystając z jej snu, gadała cisza, żółta, jaskrawa, za cisza, monologowała, kóciła się, wygadywała gościnnie i ordynarnie swój maniacki monolog. Czas Maryceki - czas więziony w jej duszy, wystąpi z niej straszliwie rzeczywisty i szedł samopas przez izbę, hałaśliwy, huczny, piekielny, rosny w jaskrawym milczeniu poranka z gościnnego myna-zegara, jak za mka, sypka mka, gupia mka wariatów.

3 W jednym z tych domków, otoczonym sztachetami brzowej barwy, tonącym w bujnej zieleni ogródka, mieszkała ciotka Agata. Wchodząc do niej, mijaliśmy w ogrodzie kolorowe szklane kule, tkwice na tyczkach, różowe, zielone i fioletowe, w których zaklęte były całe światła i jasne światła, jak te idealne i szczerze obrazy zamknięte w niedościgłej doskonałości baniek mydlanych. W północnej sieni ze starymi oleodrukami, porzartymi przez pleceń i ocalonymi od starości, odnajdowaliśmy znany nam zapach. W tej zaufanej starej woni mieściło się w dziwnie prostej syntezie życie tych ludzi, alambik rasy, gatunek krwi i sekret ich losu, zawarty niedostrzegalnie w codziennym mijaniu ich wasnego, odrębnego czasu. Stare, mdre drzwi, których ciemne westchnienia wpuszczają i wypuszczają tych ludzi, milczący świadkowie wchodzenia i wychodzenia matki, córek i synów - otworzyły się bezgłośnie jak odrzwia szafy i weszliśmy w ich życie. Siedzieli jakby w cieniu swego losu i nie bronili się - w pierwszych nieświadomych gestach wydalinali swój tajemniczy. Czyż nie byliśmy krwi i losem spokrewnieni z nimi? Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze zlotym deseniem, lecz echo dnia pomiennego drgało i tutaj jeszcze mosidłem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zielenią ogrodu. Spod ceciany podniosła się ciotka Agata, wielka i bujna, o mięsie okrągłym i białym, centkowanym rud rdz piegów. Przysiedliśmy się do nich, jakby na brzeg ich losu, zawstydzeni trochę t bezbronności, z jak wydalili się nam bez zastrzeżeń, i pililiśmy wodę z sokiem różanym, napój przedziwny, w którym znalazłem jakby najgłębszą esencję tej upalnej soboty. Ciotka narzekła. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego mięsa białego i podnego, bujającego już, jakby poza granicami osoby, zaledwie luźnie utrzymywanej w skupieniu, w więzach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już wielokrotnie, gotowej rozpaść się, rozgaźniać, rozsypać w rodzinę. Była to podnośność niemal samoródcza, kobiecość pozbawiona hamulców i chorobliwie wybujała. Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworódtwa. I wcale nie wszystkie jej skargi na męża, na sukę, jej troski o dzieci były tylko kapryszeniem i dsaniem się nie zaspokojonej podnośności, dalszym ciągiem tej opryskliwej, gniewnej i paczliwej kokieterii, którą nadaremnie doświadczała mąż. Wuj Marek, młody, zgarbiony, o twarzy wyjątkowej z pięci, siedział w swym szarym bankructwie, pogodzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogardy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tliła się daleka żar ogrodu, rozpięty w oknie. Czasem próbował samowystarczalną kobiecością zastrzeżenia, stawiał opór, ale fala samowystarczalnej kobiecości odrzucała na bok ten gest bez znaczenia, przechodziła triumfalnie mimo

niego, zalewaa szerokim swym strumieniem sabe podrygi mëskoœci. Byo coœe tragicznego w tej podnoœci niechlujnej i nieumiarkowanej, bya nêdza kreatury walczcej na granicy nicoœci i œmierci, by jakieœ heroizm kobiecoœci triumfujcej urodzajnoœci nawet nad kalectwem natury, nad insuficjencj mê¿czyzny. Ale potomstwo ukazywao racjê tej paniki macierzyñskiej, tego szau rodzenia, który wyczerpywa siê w podach nieudanych, w efemerycznej generacji fantomów bez krwi i twarzy. Wesza ucja, œrednia, z gow nazbyt rozkwit i dojrza na dzieciêcym i pulchnym cieie o miêsie biaym i delikatnym. Podaa mi rczkê lalkowat, jakby dopiero pczkujc, i zakwita od razu ca twarz, jak piwonია przelewajca siê peni ró¿ow. Nieszczêœliwa z powodu swych rumieñców, które bezwstydnie mówiy o sekretach menstruacji, przymykaa oczy i ponia siê jeszcze bardziej pod dotkniêciem najjobojêtniejszego pytania, gdy¿ ka¿de zawierao tajn aluzjê do jej nadwra¿liwego panieñstwa. Emil, najstarszy z kuzynów, z jasnoblond wsem, z twarz, z której ¿ycie zmyo jakby wszelki wyraz, spacerowa tam i z powrotem po pokoju, z rêkami w kieszeniach fadzistych spodni. Jego strój elegancki i drogocenny nosi piêtno egzotycznych krajów, z których powróci. Jego twarz, zwiêda i zmêtniaa, zdawaa siê z dnia na dzieñ zapominaa o sobie, stawaa siê bia pust œcian z blad sieci ¿yek, w których jak linie na zatartej mapie pltay siê gasnce wspomnienia tego burzliwego i zmarnowanego ¿ycia. By mistrzem sztuk karcianych, pali dugie, szlachetne fajki i pachnia dziwnie zapachem dalekich krajów. Z wzrokiem wêdrujcym po dawnych wspomnieniach opowiada dziwne anegdoty, które w pewnym punkcie uryway siê nagle, rozprzêgay i rozwieway w nicoœæ. Wodziem za nim têsknym wzrokiem, pragnc, by zwróci na mnie uwagê i wybawi mnie z udrêki nudów. I w samej rzeczy zdawao mi siê, ¿e mrugn na mnie oczyma, wychodzc do drugiego pokoju. Pod¿yem za nim. Siedzia nisko na maej kozetce, z kolanami krzy¿ujcymi siê niemal na wysokoœci gowy, ysey jak kula bilardowa. Zdawao siê, ¿e to ubranie samo le¿y, fadziste, zmiête, przerzucone przez fotel. Twarz jego bya jak tchnienie twarzy–smuga, któr nieznany przechodzieñ zostawi w powietrzu. Trzyma w bladych, emaliowanych bêkitnie doniach portfel, w którym coœe oglda. Z mgy twarzy wyonio siê z trudem wypuke bielmo bladego oka, wabic mnie figlarnym mruganiem. Czudem doñ nieprzepart sympatiê. Wzi mnie miêdzy kolana i tasujc przed mymi oczyma wprawnymi doñmi fotografie, pokazywa wizerunki nagich kobiet i chopców w dziwnych pozycjach. Staem oparty o niego bokiem i patrzem na te delikatne ciaa ludzkie dalekimi, niewidzcymi oczyma, gdy fluid niejasnego wzburzenia, którym nagle zmêtniao powietrze, doszed do mnie i zbieg miê dreszczem niepokoju, fal nagego zrozumienia. Ale tymczasem ta mgieka ucemiechu, która siê zarysowaa pod miêkkim i piêknym jego wsem, zawizek po¿dania, który napi siê na jego skroniach pulsujc ¿y, natê¿enie trzymajce przez chwilê jego rysy w skupieniu–upady z powrotem w nicoœæ i twarz odesza w nieobecnoœæ, zapomniaa o sobie, rozwiaa siê,

NAWIEDZENIE 1 Ju¿ wówczas miasto nasze popadao coraz bardziej w chroniczn szaroœæ zmierzchu, porastao na krawêdziach liszajem cienia, puszyst pleceni i mchem koloru ¿elaza. Ledwo rozpowity z brunatnych

dymów i mgie poranka –przechyla się dzień od razu w niskie bursztynowe popołudnie, stawa się przez chwilę przezroczysty i zoty jak ciemne piwo, a żeby potem zejść pod wielokrotnie rozczonkowane, fantastyczne sklepienia kolorowych i rozległych nocy. Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i olepnych fasadach, które tak trudno od siebie odróżnić. Daje to powód do cigich omyłek. Gdy wszedłszy raz w nieważniwie się na nieważniwie schody, dostawał się zazwyczaj w prawdziwy labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapomniał się o pocztkowym celu wyprawy, a żeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny. Pene wielkich szaf, głębokich kanap, białych lusterek i tandetnych palm sztucznych mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieczętowania matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukonogiej Adeli, która nie nadzorowana przez nikogo, spędzała dni przed lustrami na rozwelekiej toalecie, zostawiając wszędzie ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebieni, porzuconych pantofelek i gorsetów. Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdyż nie pamiętano, ile z nich wynajęto by obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem któreś z tych izb zapomnianych i znajdowano je puste; lokator dawno się wyprowadził, a w nietkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć. W dolnych pokojach mieszkali subiekci i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. W zimie była jeszcze na dworze gucha noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokoi, poszedł przed siebie światła stada cieni, ulatujących bokami po podłodze i ścianach; siedział ciężko chrapących z twardego jak kamień snu. W świetle pozostawionej przezeń świecy wywijali się leniwie z brudnej podłogi, wystawiali, siadając na łóżkach, bosa i brzydkie nogi i z szarfami w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania – ziewania przeciągniętego aż do łbień, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tych wymiotach. W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony, wyogromnione wasnym cieniem, którym obarczył każdego ponca światła i który nie odczuwał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych paskich, bezgłowych kadubów z naga zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem. W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Był już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dni całe w łóżku, otoczony fiaskami, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru. Gorzki zapach choroby osiadał na dzień pokoju, którego tapety gościły ciemniejszym splotem arabesek. Wieczorami, gdy matka przychodziła do sklepu, była podniecona i skonny do sprzączek, zarzucała jej niedokładności w prowadzeniu rachunków, dostawała wypieków i zapalała się do nieczytelnosci. Pamiętam, iż raz, obudzony się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegał tam i z powrotem po skórzanym kanapie, dokumentując w ten sposób swą irytację przed bezradną matką. W inne dni był spokojny i skupiony i pogrzebał się zupełnie w swych księgach, zabkany głęboko w labiryntach zawyżonych obliczeń. Widział go w świetle kopczej lampy, przykucniętego wśród poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłosem łóżka, z ogromnym cieniem od gowy na ścianie,

kiwającego się w bezgłocej medytacji. Chwilami wynurza głowę z tych rachunków, jakby dla zaczerpnięcia tchu, otwiera usta, młaska z niesmakiem językiem, który by suchy i gorzki, i rozgląda się bezradnie, jakby czegoś szukając. Wówczas bywają, że zbiega po cichu z ółką w kącie pokoju, pod ocianę, na której wisia zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioli szklanej, podzielonej na uncje i napełnionej ciemnym fluidem. Mój ojciec czytał z tym instrumentem długie kłopoty gumowate, jakby krót, bolesne pępowiny, i tak poczynił z chaosnym przyrządem – nieruchomą w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zacięły na twarz przybłąd występowa wyraz cierpienia czy jakiejś występnej rozkoszy. Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stoowej, wśród poduszek wielkiego ołka, a pokój ogromniał w cieniu umbr, który go czył z wielkim żywiołem nocy miejskiej za oknem – czył, nie patrząc, że przestrzeń obrastała go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szeptań, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, te znowu pełne porozumiewawczych mrugnięć perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małych usznych, które suchały, i ciemnych ust, które się ucemiały. Wówczas pogryzał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walczył z pokusą, żeby z nagłym krzykiem nie rzucić się na oścież za siebie i nie pochwycić pełnych garści tych kędzierzawych arabesk, tych pęków oczu i uszu, które noc wyrobiała ze siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajacząc coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajały się dopiero, gdy z odpywem nocy tapety wiedzy, zwinęły się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesienią, przepuszczając dalekie światło. Wtedy wśród światła tapetowych ptaków, w złotym zimowym świetle zasypiał na parę godzin gęstym, czarnym snem. Od dnia, od tygodnia, gdy zdawał się być pogryzionym w zawiłych konto-korrentach – myślał jego zapuszczająca się tajemnie w labirynty wasnych wnętrzości. Wstrzymywała oddech i nasuchiwała. I gdy wzrok jego wracał zbielał i mętny z tamtych gęb, uspokajał go ucemiałchem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które nań napierały. Za dnia był to jakby rozumowanie i perswazje, długie, monotonne rozważania prowadzone pógosem i pełne humorystycznych interludów, filuternych przekomarzań. Ale noc podnosiła się te gęste namiętniej. danie wracało coraz wyraźniej i doniosiej i syszeliemy, jak rozmawia z Bogiem, prosił się jak gdyby i wzbraniając przed czymś, co natarczywie żądał i domagał się. Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźny i nieodparcie, żądając, aby mu dał świadectwo uszy i wnętrzościami swymi. I uszeliemy, jak duch weń wstąpił, jak podniósł się z ółki, długi i rosły gniew proroczym, dawał się hałaśliwymi sowy, które wyrzucał jak mitralię. Syszeliemy omot walki i jęk ojca, jęk tytana ze zamkniętym biodrem, który jeszcze urgał. Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczono go szeroko na ogromnym porcelanowym urynale, zakrytego wicherem ramion, chmur rozpaczliwych amańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się głos jego,

obecny i twardy – zrozumiałem gniew boży świętych mężów. Był to dialog

groŹny jak mowa piorunów. amańce rak jego rozryway niebo na sztuki, a w szczelinach ukazywaa się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i plujca przekleństwa. Nie patrzc widziaem go, groŹnego Demiurga, jak leŹc na ciemnoœciach jak na Synaju, wsparszy potęne donie na karniszu firanek, przykada ogromn twarz do górnych szyb okna, na których paszczy się potwornie miêsisty nos jego. Syszaem jego gos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, syszaem te potęne warkniêcia wzdętych warg, od których szyby brzêczay, mieszajce się z wybuchami zaklêæ, lamentów, gróŹb mego ojca. Czasami gosy przycichay i zŹymay się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znowu wybuchay wielkim zgiekliwym haasem, burz zmieszanych szlochów i przekleństw. Z naga otworzyo się okno ciemnym ziewniêciem i pachta ciemnoœci wionêa przez pokój. W œwietle byskawicy ujrzaem ojca mego w rozwianej bieliŹnie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewa potęnym chlustem w okno zawartoœæ nocnika w noc szumic jak muszla. 2 Mój ojciec powoli zanika, wid w oczach. Przykucnięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kêpami siwych wosów, rozmawia z sob pógosem, pogrŹony cay w jakieœ zawie wewnêtrzne afery. Zdawaæ się mogo, Źe osobowoœæ jego rozpada się na wiele pokóconych i rozbieŹnych jaŹni, gdy Ź kóci się ze sob goœno, pertraktowa usilnie i namiêtnie, przekonywa i prosi, to znowu zdawa się przewodniczyæ zgromadzeniu wielu interesantów, których usiowa z caym nakadem Źarliwoœci i swady pogodziæ. Ale za kaŹdym razem te haaceliwe zebrania, pene gorcych temperamentów, rozpryskiway się przy końcu, wœród kltw, zorzeczeñ i obelg. Potem przyszed okres jakiegoœ uciszenia, ukojenia wewnêtrznego, bogiej pogody ducha. Znowu wielkie folianty rozoŹone byy na ôŹku, na stole, na pododze i jakieœ benedyktyñski spokój pracy zalega w œwietle lampy nad bia poœciel ôŹka, nad pochylon siw gow mego ojca. Ale gdy matka póŹnym wieczorem wracaa ze sklepu, ojciec oŹywia się, przywoywa j do siebie i z dum pokazywa jej œwietne, kolorowe odbijanki, którymi skrzêtnie wylepi stronice ksiêgi gównej. ZauwaŹylicemy wówczas wszyscy, Źe ojciec zac z dnia na dzieñ maleæ jak orzech, który zsyca się wewntrz upiny. Zanikowi temu nie towarzyszy bynajmniej upadek si. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwoœæ zdaway się poprawiaæ. Czêsto œmia się teraz goœno i szczebiotliwie, zanosi się wprost od œmiechu, albo teŹ puka w ôŹko i odpowiada sobie proszê w róŹnych tonacjach, caymi godzinami. Od czasu do czasu zazi z ôŹka, wspina się na szafê i przykucnięty pod sufitem porzdkowa coœ w starych gratach, penych rdzy i kurzu. Niekiedy ustawia sobie dwa krzesa naprzeciw siebie i wspierajc się rêkami o porêcze, buja się nogami wstecz i naprzód, szukajc rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachêty. Z Bogiem, zdaje się, pogodzi się zupenie. Niekiedy w nocy ukazywaa się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, oblana ciemn purpur bengalskiego œwiata, i patrzya przez chwilê dobrotliwie na uœpionego gêboko, którego œpiewne chrapanie zdawao się wêdrowaæ daleko po nieznanym obszarach œwiatów sennych. Podczas dugich, póciemnych popudni tej póŹnej zimy ojciec mój zapada od czasu do czasu na cae godziny w gêsto zastawione gratami zakamarki, szukajc czegoœ zawziêcie. I nieraz bywao podczas obiadu, gdy zasiadalicemy wszyscy do stou, brako ojca. Wówczas matka musiaa

dugo woaa Jakubie! i stukaa yłk w stó, zanim wylaz z jakiejoe szafy, oblepiony szmatami pajęczyiny i kurzu, z wzrokiem nieprzytomnym i pogrżonym w zawiych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzta. Czasem wdrapywa się na karnisz i przybiera nieruchom pozê symetrycznie do wielkiego wypchanego sêpa, który po drugiej stronie okna zawieszony by na œcianie. W tej nieruchomej, przykucniêtej pozie, z wzrokiem zamglonym i z min chytrze ucemiechniêt trwa godzinami, ażeby z naga przy czymoe wejœciu zatrzepotaê rêkoma jak skrzydami i zapiaæ jak kogut. Przestalicemy zwracaæ uwagê na te dziwactwa, w które się z dnia na dzieñ gêbiej wpltywa. Wyzbyty jakby zupenie cielesnych potrzeb, nie przyjmujc tygodniami pokarmu, pogrża się z dniem kaźdym gêbiej w zawie i dziwaczne afery, dla których nie mieliemy zrozumienia. Niedosiêgy dla naszych perswazji i próœb, odpowiada urywkami swego wewnêtrznego monologu, którego przebiegu nic z zewntz zmiaæ nie mogó. Wiecznie zaafelowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach nie zauwaza nas i przeocza. Przywykliemy do jego nieszkodliwej obecnoœci, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego œwiegotu, którego trele przebiegaj niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy juź znika niekiedy na wiele dni, podziewa się gdzieœ w zapadych zakamarkach mieszkania i nie moźna go byo znaleŹæ. Stopniowo te znikniêcia przestaj sprawiaæ na nas wraźenie, przywykliemy do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawia, o parê cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywao to na dużej naszej uwagi. Przestalicemy po prostu braæ go w rachubê, tak bardzo oddali się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. Wêze po wêŹle odluŹnia się od nas, punkt po punkcie gubi wzizki czce go ze wspólnot ludzk. To, co jeszcze z niego pozostao, to trochê cielesnej powoki i ta garœæ bezsensownych dziwactw - mogy zniknaæ pewnego dnia, tak samo nie zauwazone jak szara kupka œmieci, gromadzca się w kcie, któr Adela co dzieñ wynosia na œmietnik.

PTAKI Nadeszy łóte, pene nudy dni zimowe. Zrudzia ziemiê pokrywa dziurawy, przetarty, za krótki obrus œniegu. Na wiele dachów nie starczyo go i stay czarne lub rdzawe, gontowe strzechy i arki kryjce w sobie zakopcone przestrzenie strychów-czarne, zwêglone katedry, najeźone łebrami krokwi, patwi i bantów-ciemne puca wichrów zimowych. Kaźdy œwit odkrywa nowe kominy i dymniki, wyrose w nocy, wydête przez wicher nocny, czarne puszczaki organów diabelskich. Kominiarze nie mogli opêdziaæ się od wron, które na ksztat Źywych czarnych liœci obsiadaj wieczorem gaêzie drzew pod kocœcioem, odrywaj się znów, trzepoc, by wreszcie przyłgnæ, kaźda do waœciwego miejsca na waœciwej gaêzi, a o œwicie ulatywaj wielkimi stadami-tumany sadzy, patki kopci, falujce i fantastyczne, plamic migotliwym krakaniem mêtnoźóte smugi œwitu. Dni stwardniay od zimna i nudy, jak zeszoroczne bochenki chleba. Napoczynano je têtymi noźami, bez apetytu, z leniw sennoœci. Ojciec nie wychodzi juź z domu. Pali w piecach, studiowa nigdy niezgêbion istotê ognia, wyczuwa sony, metaliczny posmak i wêdzony zapach zimowych pomieni, chodn pieszczotê salamander, liźcych byszczc sadzê w gardzieli komina. Z zamiowaniem

wykonywa w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było widzieć, jak przykucnięty na szczycie drabiny-majstrowa coce przy suficie, przy kamizdach wysokich okien, przy kulach i ańcuchach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwała się drabin jak ogromnymi szczudłami i czuła się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesk i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalała się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu jego stanu, starała się go wciągnąć w rozmowę o interesach, o patnocieciach najbliższego ultimo, sucha jej z roztargnieniem, pełna niepokoju, z drgawkami w nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywała jej nagle zaklinającym gestem ręki, aby pójść do pokoju, przylgnąć uchem do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu ręk, wyrażającymi najwyżej wątpliwość o badania-nasuchiwanie. Nie rozumieliśmy wówczas jeszcze smutnego tańca tych ekstrawagancji, opakowanego kompleksu, który dojrzewa w głębi. Matka nie miała nań żadnego wpływu, natomiast wielką czci i uwagi darzyła Adèle. Sprzątanie pokoju było dlań wielką i ważną ceremonią, której nie zaniedbywała nigdy będąc oświadczeniem, że z mieszanych strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywała głębsze, symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna modnymi i cemiowymi ruchami posuwała szczotkę na dęsim drzewku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego layła się wówczas zły, twarz zanosiła się od cichego cemięchu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na askotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym askotanie, a już w dzikim popochu uciekała przez wszystkie pokoje, zatrząskując za sobą drzwi, by wreszcie w ostatnim pachać brzuchem na ółko i wiać się w konwulsjach cemięchu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną. W tym to czasie zauważyliśmy u ojca po raz pierwszy namiętne zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namiętność myśliwego i artysty zarazem, była może także głębsza, zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, a tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w nie wypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie wzięła sprawa ten niesamowity, zapłtany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne. Zaczęło się to od wylęgania jaj ptasich. Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadza ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapodnione jaja ptasie, które dawały do wylęgania ogromnym kurom belgijskim. Była to procedera nader zajmująca i dla mnie – to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworów w kształcie i ubarwieniu. Nie podobna było dopatrzeć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierają się szeroko, sycząc żarocznie czeluściami gardła, w tych jaszczurach o wtym, nagim ciele garbusów-przyszych pawów, bażantów, guszców i kondorów. Umieszczony w koszykach, w wacie, smoczy ten pomiot podnosi na cienkich szyjach cielepe, bielmem zarosłe gowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż półek w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nicotoci te pęcherze cielepe, pulsujące życiem, te niedośćne brzuchy,

przyjmujce œwiat zewnêtrzny tylko w formie jedzenia, te narocœle Ÿycia, pnce siê omackiem ku œwiatu. W parê tygodni pÓŸniej, gdy te œepe pczki Ÿycia pêky do œwiata, napeniy siê pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym œwiergotem swych nowych mieszkañców. Obsiaday one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnieŸdziy siê w gêstwinie cynowych gaêzi i arabesek wieloramiennych lamp wiszcych. Gdy ojciec studiowa wielkie ornitologiczne kompendia i wertowa kolorowe tablice, zdaway siê ulatywaæ z nich te pierzaste fantazmaty i napeniaæ pokój kolorowym trzepotem, patami purpury, strzêpami szafiru, grynszpanu i srebra. Podczas karmienia tworzyy one na pododze barwn, falujc grzdkê, dywan Ÿywy, który za czymœ niebacznym wejœciem rozpada siê, rozlatywa w ruchome kwiaty, trzepocce w powietrzu, aby w koñcu rozmieœcia siê w górnych regionach pokoju. W pamieci pozosta mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujaej narocelami. By to chudy asceta, lama buddyjski, peen niewzruszonej godnoœci w caym zachowaniu, kierujcy siê Ÿelaznym ceremoniaem swego wielkiego rodu. Gdy siedzia naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawlczonym biaawym bielmem, które zasuwaa z boku na Ÿrenice, a¿eby zamknæ siê zupenie w kontemplacji swej dostojnej samotnoœci—wydawa siê ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciaa, œciêgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyscha i koœcista, te same zrogowaciae, gêbokie oczodoy. Nawet rêce, silne w wêzach, dugie, chude donie ojca, z wypukymi paznokciami, miay swój analogon w szponach kondora. Nie mogem siê oprzeæ wra¿eniu, widzc go tak uœpionego, ¿e mam przed sob mumiê—wysch i dlatego pomniejszon mumiê mego ojca. Sdzê, ¿e i uwagi matki nie uszo to przedziwne podobieñstwo, chocia¿ nigdy nie poruszalicymy tego tematu. Charakterystyczne jest, ¿e kondor u¿ywa wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego. Nie poprzestajc na wylêganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urzdza na strychu wesela ptasie, wysya swatów, uwizywa w lukach i dziurach strychu ponêtne, stêsknione narzeczone i osign w samej rzeczy to, ¿e dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy,

sta siê prawdziw gospod ptasi, ark Noego, do której zlatyway siê wszelkiego rodzaju skrzydlacze z dalekich stron. Nawet dugo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywaa siê w œwiecie ptasim ta tradycja naszego domu i w okresie wiosennych wêdrówek spaday nieraz na nasz dach cae chmary ¿urawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa. Impreza ta wziêa jednak niebawem—po krótkiej œwietnoœci—smutny obrót. Wkrótce okaza siê bowiem konieczna translokacja ojca do dwóch pokójów na poddaszu, które su¿yly za rupieciarnie. Stamtê dochodzi ju¿ o wczesnym œwiecie zmieszany klangor gosów ptasich. Drewniane puda pokójów na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dŸwiêczay cae od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak stracilicymy ojca z widoku na przecig kilku tygodni. Rzadko tylko schodzi do mieszkania i wtedy mogliemy zauwa¿yæ, ¿e zmniejszy siê jakoby, schud i skurczy. Niekiedy przez zapomnienie zrywa siê z krzesa przy stole i trzepic rêkoma jak skrzydami, wydawa pianie przecige, a oczy zachodziy mu mg bielma. Potem, zawstydzony, œmia

się razem z nami i stara się ten incydent obrócić w żart. Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawia się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanwszy we drzwiach, zaamara ręce nad fetorem, który się unosi w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podogi, stopy i meble. Szybko zdecydowana otworzyła okno, po czym przy pomocy długiej szczotki wprawia całe ptasi w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady, zakrytej myłcem swego tyrsu, tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasi gromadził ojciec mój, trzepiąc rękoma, w przerażeniu próbował wzniesić się w powietrze. Z wolna przeredzała się tuman skrzydlatek, aż w końcu na pobojuwisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną zafrasowaną i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji. W chwili później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium – człowiek zamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

MANEKINY Ta ptasia impreza mego ojca była ostatnim wybuchem kolorowoceci, ostatnim i cewietnym kontrmarszem fantazji, który ten niepoprawny improwizator, ten fechtmistrz wyobraźni poprowadził na szaniec i okopy jałowej i pustej zimy. Dzieci dopiero rozumieć samotne bohaterstwo, z jakim sam jeden wydał on wojnę bezbrzeżnemu żywiołowi nudy drętwej miasto. Pozbawiony wszelkiego poparcia, bez uznania z naszej strony bronił ten mój przedziwny straconej sprawy poezji. Był on cudownym myślnym, w którego leje sypała się otręba pustych godzin, ażeby w jego trybach zakwitła wszystkimi kolorami i zapachami korzeni Wschodu. Ale przywykli do cewietnego kuglarstwa tego metafizycznego prestidigitatora, byliśmy skłonni zapoznawać wartość jego suwerennej magii, która nas ratowała od letargu pustych dni i nocy. Adeli nie spotkał żaden wyrzut za jej bezmyślny i tępy wandalizm. Przeciwnie, czuliśmy jakiego niskie zadowolenie, haniebny satysfakcję z ukrócenia tych wybujałości, których kosztowaliśmy akomnie do syta, ażeby potem uchylać się perfidnie od odpowiedzialności za nie. A może by w tej zdradzie i tajnym pokonaniu stroną zwycięskiej Adeli, której przypisywaliśmy niejasno jakiego misje i posannictwo się wyższego rzędu. Zdradzony przez wszystkich, wycofała się ojciec bez walki z miejsc swej niedawnej chwały. Bez skrzyżowania szpad oddał w ręce wroga domenę swej byłej cewietności. Dobrowolny banita usunął się do pustego pokoju na końcu sieni i oszańcował się tam samotnością. Zapomnieliśmy o nim. Obiegał nas znowu ze wszech stron żłobna szarość miasta, zakwitając w oknach ciemnym liszajem cewitów, pasożytniczym grzybem zmierzchów, rozrastającym się w puszyste futro długich nocy zimowych. Tapety pokojów, rozluźnione bogo za tamtych dni i otwarte dla kolorowych lotów owej skrzydlatej czeredy, zamknęły się znów w sobie, zgęstniały płaząc się w monotonii gorzkich monologów. Lampy poczerniały i zwiędły jak stare osty i bodiaki. Wisiły teraz osowiały i zgryźliwe, dzwoniły cicho kryształkami szkielek, gdy ktoś przeprowadzał się omackiem przez zmierzch pokoju. Na próżno wetknęła Adela we wszystkie ramiona tych lamp kolorowe cewiece, nieudolny surogat, blade wspomnienie cewietnych iluminacji, którymi kwity niedawno wiszeć ich ogrody. Ach! gdzie było to cewiegotliwe pszkowanie, to owocowanie poczepieszne i fantastyczne w bukietach tych lamp, z których jak z

pękających czarodziejskich tortów ulatywały skrzydlate fantazmaty, rozbijające powietrze na talie kart magicznych, rozsypując je w kolorowe oklaski, sypiąc się gęstymi uskami lazuru, pawiej, papuziej zieleni, metalicznych poysków, rysując w powietrzu linie i arabeski, migotliwe ciałoty lotów i koowań, rozwijając kolorowe wachlarze trzepotów, utrzymując się dugo po przelocie w bogatej i byskotliwej atmosferze, Jeszcze teraz kryją się w gębi zszarzałej aury echa i możliwości barwnych rozbyśków, lecz nikt nie nawierca fletem, nie dociewadza cewidrem zmętniałych sojów powietrznych. Tygodnie te stają pod znakiem dziwnej senności. Ówka cały dzień nie zaciełone, zawałone pocieł zmięt i wytarzan od ciężkich snów, stają jak gębokie odzie gotowe do odpływu w mokre i zawie labirynty jakiejś czarnej, bezgwiazdnej Wenecji. O guchym cewicie Adela przynosi nam kawę. Ubieraliśmy się leniwie w zimnych pokojach, przy cewietle cewicy odbitej wielokrotnie w czar-nych szybach okien. Poranki te były pene bezadnego krztania się, rozwlekiego szukania w różnych szufladach i szafach. Po całym mieszkaniu sychał było kapanie pantofelków Adeli. Subiekci zapalali latarnie, brali z ręk matki wielkie klucze sklepowe i wychodzili w gęst, wirując ciemnościami. Matka nie mogła dojść do adu z toalet. Cewiece dogasay w lichtarzu. Adela przepadała gdzieś w odległych pokojach lub na strychu, gdzie rozwieszają bieliznę. Nie mogła jej się być dowołać. Mody jeszcze, mętne i brudny ogień w piecu liza zimne, byszczce narociele sadzy w gardzieli komina. Cewieca gasa, pokój pogryła się w ciemności. Z gowami na obrusie stou, wśród resztek ceniadania zasypaliśmy na wpół ubrani. Leżąc twarzami na futrzanym brzuchu ciemności, odprowadzaliśmy na jego falistym oddechu w bezgwiazdny nicototot. Budziliśmy nas goćne sprztanie Adeli. Matka nie mogła uporać się z toalet. Nim skończyła czesanie, subiekci wracali na obiad. Mrok na rynku przybiera kolor zotawego dymu. Przez chwilę z tych dymnych miódów, z tych mętnych bursztynów mogły się rozpowiać kolory najpiękniejszego popołudnia. Ale szczęśliwy moment mija, amalgamat cewitu przekwita, wezbrany ferment dnia, już niemal docięgi, opada z powrotem w bezsilną szarotot. Zasiadaliśmy do stou, subiekci zacierali czerwone z zimną ręką i nagle proza ich rozmów sprowadzała od razu peny dzień, szary i pusty wtorek, dzień bez tradycji i bez twarzy. Ale gdy pojawia się na stole pómisek z rybą na szklistej galarecie, dwie duże ryby leżące bok przy boku, gow do ogona jak figura zodiakalna, odpoznawaliśmy w nich herb owego dnia, emblemat kalendarzowy bezimiennego wtorku, i rozbieraliśmy go pospiesznie między siebie, pełni ulgi, że dzień odzyska w nim swój fizjonomię. Subiekci spożywali go z namaszczeniem, z powagą kalendarzowej ceremonii. Zapach pieprzu rozchodzi się po pokoju. A gdy wytarli buk ostatek galarety ze swych talerzy, rozważając w myśli heraldykę następnych dni tygodnia, i na pómisku zostawały tylko gowy z wygotowanymi oczyma—czuliśmy wszyscy, że dzień został wspólnymi siłami pokonany i że reszta nie wchodzi już w rachubę. W samej rzeczy z resztą, wydaną na jej askę, Adela nie robiła sobie dużych ceregieli. Wśród brzęku garnków i chlustów zimnej wody likwidowała energię tych parę godzin do zmierzchu, które matka przesyłała na otomanie. Tymczasem w jadalni przygotowywano już scenię wieczoru. Poldę i Paulinę, dziewczęta do szycia, rozgospodarowały się w niej z

rekwizytami swego fachu. Na ich ramionach wniesiona wchodzi do pokoju milczca, nieruchoma pani, dama z kaków i pótna, z czarn drewnian gak zamiast gowy. Ale ustawiona w kcie, miédy drzwiami a piecem, ta cicha dama stawaa siê pani sytuacji. Ze swego kta, stojc nieruchomo, nadzorowaa w milczeniu pracê dziewczt. Pena krytycyzmu i nieaski przyjmowaa ich starania i umizgi, z jakimi przyklékay przed ni, przymierzajc fragmenty sukni, znaczone bia fastryg. Obsugiway z uwag i cierpliwocci milzczy idol, którego nic zadowoliæ nie mogo. Ten moloch by nieubagany, jak tylko kobiece molochy byæ potrafi, i odsya je wci¿ na nowo do pracy, a one, wrzecionowate i smuke, podobne do szpuli drewnianych, z których odwijaj siê nici, i tak ruchliwe jak one, manipuloway zgrabnymi ruchami nad t kup jedwabiu i sukna, wcinay siê szczêkajcymi no¿ycami w jej kolorow masê, furkotay maszyn, depcc peda lakierkow, tani nó¿k, a dookoa nich rosa kupa odpadków, różnokolorowych strzêpów i szmatek, jak wyplute uski i plewy dookoa dwóch wybrednych i marnotrawnych papug. Krzywe szczêki no¿yc otwieray siê ze skrzypieniem, jak dzioby tych kolorowych ptaków.

Dziewczêta deptay nieuwa¿nie po barwnych obrzynkach, brodzc nieocwiadomie niby w œmietniku mo¿liwego jakiegoœ karnawau, w rupieciami jakiejœ wielkiej nieureczywistnionej maskarady. Otrzeptyway siê ze szmatek z nerwowym œmiechem, askotay oczyma zwierciada. Ich dusze, szybkie czarodziejstwo ich rk byo nie w nudnych sukniach, które zostaway na stole, ale w tych setkach odstrzygniêæ, w tych wiórach lekkomyœlnych i pochych, którymi zasypaæ mogy cale miasto, jak kolorow fantastyczn œnie¿yc. Nagle byo im gorco i otwieray okno, a¿eby w niecierpliwocci swej samotni, w godzie obcych twarzy, przynajmniej bezimienn twarz zobaczyæ, do okna przyciœniêt. Wachloway rozpalone swe policzki przed wzbierajc frankami noc zimow-odsaniay ponce dekolty, pene nienawicci do siebie i rywalizacji, gotowe stanæ do walki o tego pierrota, którego by ciemny powiew nocy przywia na okno. Ach! jak mao wymagay one od rzeczywistocci. Miay wszystko w sobie, miay nadmiar wszystkiego w sobie. Ach! byby im wystarczy pierrot wypchany trocinami, jedno-dwa sowa, na które od dawna czekay, by móc wpaœæ w sw rolê dawno przygotowan, z dawna toczc siê na usta, pen sodkiej i strasznej goryczy, ponoszc dziko, jak stronice romansu poykane noc wraz ze zami ronionymi na wypieki lic. Podczas jednej ze swych wêdrówek wieczornych po mieszkaniu, przedsiêbranych pod nieobecnoœæ Adeli, natkn siê mój ojciec na ten cichy seans wieczorny. Przez chwilê sta w ciemnych drzwiach przylego pokoju, z lamp w rêku, oczarowany scen pen gorczki i wypieków, t idyll z pudru, kolorowej bibuki i atropiny, której jako to pene znaczenia podo¿ona bya noc zimowa, oddychajca wœród wzdêtych franek okna. Nakadajc okulary, zbli¿y siê w paru krokach i obszed dookoa dziewczêta, oœwiecajc je podniesion w rêku lamp. Przecig z otwartych drzwi podniós franki u okna, panienci daway siê ogldaæ, krêcc siê w biodrach, poloeniewajc emali oczu, lakiem skrzypicych pantofelków, sprzczkami podwizek pod wzdêt od wiatru sukienk; szmatki jêy umykaæ po pododze, jak szczury, ku uchylonym drzwiom ciemnego pokoju, a ojciec mój przyglãda siê uwa¿nie pryhajcym osóbkom, szepcc pógosem:–

Genus avium... jeceli siê nie mylê, scansores albo pistacci... w najwyższym stopniu godne uwagi. Przypadkowe to spotkanie stao siê pocztkiem caej serii seansów, podczas których ojciec mój zdoa rycho oczarowaæ obie panienki urokiem swej przedziwnej osobistoœci. Odpacajc siê za pen galanterii i dowcipu konwersacjê, któr zapenia im pustkê wieczorów–dziewczêta pozwalay zapalonemu badaczowi studiowaæ strukturê swych szczupych i tandetnych ciaek. Dziao siê to w toku konwersacji, z powag i wytwornoœci, która najryzykowniejszym punktom tych badañ odbieraa dwuznaczny ich pozór. Odsuwajc poñczoszkê z kolana Pauliny i studiujc rozmiowanymi oczyma zwiêz i szlachetn konstrukcjê przegubu, ojciec mój mówi:–Jakê pena uroku i jak szczêeliwa jest forma bytu, któr panie obray. Jakê piêkna i prosta jest teza, któr dano wam swym Źyciem ujawniaæ. Lecz za to z jakim mistrzostwem, z jak finezj wywizuj siê panie z tego zadania. Gdybym odrzucajc respekt przed Stwórc, chocia siê zabawiaæ w krytykê stworzenia, woabym:–mniej treœci, wiêcej formy! Ach, jakby ulêy œwiatu ten ubytek treœci. Wiêcej skromnoœci w zamierzeniach, wiêcej wstrzemiêŹliwoœci w pretensjach–panowie demiurdzy–a œwiat byby doskonalszy!–woa mój ojciec akurat w momencie, gdy doñ jego wyuskiwaa bia ydkê Pauliny z uwiêzi poñczoszki. W tej chwili Adela stanêa w otwartych drzwiach jadalni, niosc tacê z podwieczorkiem. Byo to pierwsze spotkanie dwu tych wrogich potêg od czasu wielkiej rozprawy. My wszyscy, którzy asystowalioemy przy tym spotkaniu, przeŹyliœmy chwilê wielkiej trwogi. Byo nam nadwyraz przykro byæ œwiadczeniami nowego upokorzenia i tak juŹ ciêŹko doœwiadczonego mêŹa. Mój ojciec powsta z klêczek bardzo zmieszany, fal po fali zabarwiaa siê jego twarz coraz ciemniej napywem wstydu. Ale Adela znalazaa siê niespodzianie na wysokoœci sytuacji. Podesza z uœmiechem do ojca i daa mu prztyczka w nos. Na to haso Polda i Paulina klasnêy radoœenie w donie, zatupotay nógkami i uwiesiwszy siê z obu stron u ramion ojca, obtañczyy z nim stó dookoa. W ten sposób, dziêki dobremu sercu dziewczêta, rozwia siê zarodek przykrego konfliktu w ogólnej wesooœci. Oto jest pocztek wielce ciekawych i dziwnych prelekcji, które mój ojciec, natchniony urokiem tego maego i niewinnego audytorium, odbywa w nastêpnych tygodniach owej wczesnej zimy. Jest godne uwagi, jak w zetkniêciu z niezwykym tym czowiekiem rzeczy wszystkie cofay siê niejako do korzenia swego bytu, odbudowyway swe zjawisko aŹ do metafizycznego jdra, wracay niejako do pierwotnej idei, aŹeby w tym punkcie sprzeniewierzyæ siê jej i przechyliæ w te wtpliwe, ryzykowne i dwuznaczne regiony, które nazwiemy tu krótko regionami wielkiej herezji. Nasz herezjarcha szed wœród rzeczy jak magnetyzer, zaraŹajc je i uwodzc swym niebezpiecznym czarem. Czy mam nazwaæ i Paulinê jego ofiar? Staa siê ona w owych dniach jego uczennic, adeptk jego teoryj, modelem jego eksperymentów. Tutaj postaram siê wyoŹyæ z naleŹyt ostroŹnoœci, i unikajc zgorszenia, tê nader kacersk doktrynê, która opêtaa wóczas na dugie miesice mego ojca i opanowaa wszystkie jego poczynania.

TRAKTAT O MANEKINACH ALBO WTÓRA KSIÊGA RODZAJU Demiurgos–  
mówi mój

ojciec–nie posiad monopolu na tworzenie–tworzenie jest przywilejem wszystkich duchów. Materii dana jest nieskończona podnoceæ, niewyczerpana moc Ÿyciowa i zarazem uwodna sia pokusy, która nas nêci do formowania. W gêbi materii ksztatuj siê niewyraŸne ucemiechy, zawizuj siê napiêcia, zgêszczaj siê próby ksztatów. Caa materia faluje od nieskończonych moŸliwoœci, które przez ni przechodz mdymi dreszczami. Czekajc na oŸywcz tchnienie ducha, przelewa siê ona w sobie bez koñca, kusi tysicem sodkich okrglizn i miêkkoœci, które z siebie w œlepych rojeniach wymajacza. Pozbawiona wasnej inicjatywy, lubieŸnie podatna, po kobiecemu plastyczna, ulega wobec wszystkich impulsów–stanowi ona teren wyjêty spod prawa, otwarty dla wszelkiego rodzaju szarlatanerii i dyletantyzmów, domenê wszelkich naduŸyæ i wtpliwych manipulacji demiurgicznych. Materia jest najbierniejsz i najbezbronniejsz istot w kosmosie. KaŸdy moŸe j ugniatææ, formowaæ, kaŸdemu jest posuszna. Wszystkie organizacje materii s nietrwæe i luŸne, atwe do uwstecznienia i rozwizania. Nie ma Ÿadnego za w redukcji Ÿycia do form innych i nowych. Zabójstwo nie jest grzechem. Jest ono nieraz koniecznym gwatem wobec opornych i skostniaych form bytu, które przestay byæ zajmujce. W interesie ciekawego i waŸnego eksperymentu moŸe ono nawet stanowiaæ zasugê. Tu jest punkt wyjœcia dla nowej apologii sadyzmu. Mój ojciec by niewyczerpany w gloryfikacji tego przedziwnego elementu, jakim bya materia.–Nie ma materii martwej–naucza–martwota jest jedynie pozorem, za którym ukrywaj siê nieznanne formy Ÿycia. Skala tych form jest nieskończona, a odcienie i niuanse niewyczerpane. Demiurgos by w posiadaniu waŸnych i ciekawych recept twórczych. Dziêki nim stworzy on mnogoœæ rodzajów, odnawiajcych siê wasn si. Nie wiadomo, czy recepty te kiedykolwiek zostan zrekonstruowane. Ale jest to niepotrzebne, gdyŸ jeœliby nawet te klasyczne metody kreacji okazay siê raz na zawsze niedostêpne, pozostaj pewne metody illegalne, cay bezmiar metod heretyckich i wystêpnych. W miarê jak ojciec od tych ogólnych zasad kosmogonii zblia siê do terenu swych ciacniejszych zainteresowañ, gos jego zniŸa siê do wnikliwego szeptu, wykad stawa siê coraz trudniejszy i zawilszy, a wyniki, do których dochodzi, gubiy siê w coraz bardziej wtpliwych i ryzykownych regionach. Gestykulacja jego nabieraa ezoterycznej solennoœci. Przymyka jedno oko, przykada dwa palce do czoa, chytroœæ jego spojrzenia stawaa siê wprost niesamowita. Wwierca siê t chytroœci w swe interlokutorki, gwaci cynizmem tego spojrzenia najwstydlivsze, najintymniejsze w nich rezerwy i dosiêga wymykajce siê w najgêbszym zakamarku, przypiera do œciany i askota, drapa ironicznym palcem, póki nie doaskota siê bysku zrozumienia i œmiechu, œmiechu przyznania i porozumienia siê, którym w koñcu musiao siê kapitulowaæ. Dziewczêta siedziay nieruchomo, lampa kopcia, sukno pod ig maszyny dawno siê zsunêo, a maszyna stukotaa pusto, stêbnujc czarne, bezgwiezdne sukno, odwijajce siê z postawu nocy zimowej za oknem.–Zbyt dugo Ÿyliœmy pod terrorem niedoœciwej doskonaœci Demiurga–mówi mój ojciec–zbyt dugo doskonaœœæ jego tworu paraliŸowaa nasz wasn twórczoœæ. Nie chcemy z nim konkurowaa. Nie mamy ambicji mu dorównaa. Chcemy byæ twórcami we wasnej, niŸszej sferze, pragniemy dla siebie twórczoœci, pragniemy rozkoszy twórczej,

pragniemy–jednym sowem–demiurgii.–Nie wiem, w czyim imieniu proklamowa mój ojciec te postulaty, jaka zbiorowoceæ, jaka korporacja, sekta czy zakon, nadawaa sw solidarnoceci patos jego sowom. Co do nas, to bylicemy dalecy od wszelkich zakusów demurgicznych. Lecz ojciec mój rozwin tymczasem program tej wtórej demiurgii, obraz tej drugiej generacji stworzeñ, która stanæ miaa w otwartej opozycji do panujcej epoki.–Nie zale¿y nam–mówi on–na tworach o dugim oddechu, na istotach na dalek metê. Nasze kreatury nie béd bohaterami romansów w wielu tomach. Ich role béd krótkie, lapidarne, ich charaktery–bez dalszych planów. Czêsto dla jednego gestu, dla jednego sowa podejmiemy siê trudu powoania ich do ¿ycia na tê jedn chwilê. Przyznajemy otwarcie: nie bédziemy kadli nacisku na trwaoceæ ani solidnoceæ wykonania, twory nasze béd jak gdyby prowizoryczne, na jeden raz zrobione. Jeceli béd to ludzie, to damy im na przykad tylko jedn stronê twarzy, jedn rêkê, jedn nogê, tê mianowicie, która im bédzie w ich roli potrzebna. Byoby pedanteri troszczyæ siê o ich drug, nie wchodzæ w grê nogê. Z tyu mog byæ po prostu zaszyte pótnem lub pobielone. Nasz ambicjê pokadaæ bédziemy w tej dumnej dewizie: dla ka¿dego gestu inny aktor. Do obsugi ka¿dego sowa, ka¿dego czynu powoamy do ¿ycia innego czowieka. Taki jest nasz smak, to bédzie œwiat wedug naszego gustu. Demiurgos kocha siê w wytrawnych, doskonaych i skomplikowanych materiaach, my dajemy pierwszeństwo tandecie. Po prostu porywa nas, zachwyca taniocæ, lichota, tandetnoceæ materiau. Czy rozumiecie–pyta mój ojciec–gêboki sens tej saboceci, tej pasji do pstrej bibuki, do papier mâ ché , do lakowej farby, do kaków i trociny? To jest–mówi z bolesnym ucemiechem–nasza mioceæ do materii jako takiej, do jej puszystoceci i porowatoceci, do jej jedynej, mistycznej konsystencji. Demiurgos, ten wielki mistrz i artysta, czyni j niewidzialn, ka¿e jej zniknæ pod gr ¿ycia. My, przeciwnie, kochamy jej zgrzyt, jej opornocæ, jej paubiast niezgrabnocæ. Lubimy pod ka¿dym gestem, pod ka¿dym ruchem widzieæ jej ociê¿ay wysiek, jej bezwad, jej sodk niedŸwiedziowatoceæ. Dziewczêta siedziay nieruchomo z szklanymi oczyma. Twarze ich byy wycigniête i zgupiae zasuchaniem, policzki podmalowane wypiekami, trudno byo w tej chwili oceniaæ, czy nale¿ do pierwszej, czy do drugiej generacji stworzenia.–Sowem–konkludowa mój ojciec–chcemy stworzyæ po raz wtóry czowieka, na obraz i podobieństwo manekinu. Tu musimy dla wiernoeci sprawozdawczej opisaæ pewien drobny i baHy incydent, który zaszed w tym punkcie prelekcji i do którego nie przywizujemy ¿adnej wagi. Incydent ten, cakowicie niezrozumiaiy i bezsensowny w tym danym szeregu zdarzeñ, da siê chyba wytumaczyæ jako pewnego rodzaju automatyzm szcztkowy, bez antecedensów i bez cigoeci, jako pewnego rodzaju zoeliwoceæ obiektu, przeniesiona w dziedzinê psychiczn. Radzimy czytelnikowi zignorowaæ go z równ lekkomyœlnoceci, jak my to czynimy. Oto jego przebieg: W chwili gdy mój ojciec wymawia sowo manekin, Adela spojrzaa na zegarek na bransoletce, po czym porozumiaa siê spojrzeniem z Pold. Teraz wysunêa siê wraz z krzesem o piêdŸ naprzód, podniosaa brzeg sukni, wystawia powoli stopê, opiêt w czarny jedwab, i wyprê¿yaa j jak pyszczek wê¿a. Tak siedziaa przez cay czas tej sceny, cakiem sztywno, z wielkimi, trzepoczcymi oczyma, pogêbionymi lazurem atropiny, z Pold i Paulina

po obu bokach. Wszystkie trzy patrzyły rozszerzonymi oczami na ojca. Mój ojciec chrzkn, zamilk, pochylił się i stał się nagle bardzo czerwony. W jednej chwili lineatura jego twarzy, dopiero co tak rozwichrzona i pena wibracji, zamknęła się na spokorniałych rysach. On - herezjarcha natchniony, ledwo wypuszczony z wichru uniesienia - zożył się nagle w sobie, zapadł i zwinął. A może wymieniono go na innego. Ten inny siedział sztywny, bardzo czerwony, ze spuszczonej oczyma. Panna Poldka podesza i pochyliła się nad nim. Klepić go lekko po plecach, mówia tonem agodnej zachęty: - Jakub będzie rozsądny, Jakub posucha, Jakub nie będzie uparty. No, proszę... Jakub, Jakub... Wypięty pantofelek Adeli drżał lekko i byszczał jak jęczyczek węża. Mój ojciec podniósł się powoli ze spuszczonej oczyma, postąpił krok naprzód, jak automat, i osunął się na kolana. Lampa syczała w ciszy, w gęstwinie tapetu biegi tam i z powrotem wymowne spojrzenia, leciały szepty jadawitych języków, gzygaki myśli...

TRAKTAT O MANEKINACH Cig dalszy Następnego wieczora ojciec podjął z odnowioną swadą ciemną i zawyjął swój temat. Lineatura jego zmarszczek rozwijała się i zawijała z wyrafinowaną chytrością. W każdej spirali ukryty był pocisk ironii. Ale czasami inspiracja rozszerzała kręgi jego zmarszczek, które rosły jak ogromne wirujące grozy, uchodząc w milczących wolutach w głąb nocy zimowej. - Figury panoptikum, moje panie - zaczął on - kalwaryjskie parodie manekinów, ale nawet w tej postaci strzeżcie się lekko je traktować. Materia nie zna żartów. Jest ona zawsze pena tragicznej powagi. Kto oceniła się myśleć, że można grać z materią, że kształtować ją można dla żartu, że żart nie wrasta w nią, nie wlewa się natychmiast jak los, jak przeznaczenie? Czy przeczuwacie ból, cierpienie guche, nie wyzwolone, zakute w materii cierpienie tej pauby, która nie wie, czemu ni jest, czemu musi trwać w tej gwatem narzuconej formie, będącej parodią? Czy pojmujecie potęgę wyrazu, formy, pozorów, tyrańską samowolę, z jaką rzuca się ona na bezbronną kordę i opanowuje, jak wasna, tyrańska, panosząca się dusza? Nadajecie jakiejś gowie z kaków i półną wyraz gniewu i pozostawiacie ją z tym gniewem, z tym konwulsją, z tym napięciem raz na zawsze, zamkniętą ze sobą zością, dla której nie ma odpywu. Tumorze się z tej parodii. Paczcie, moje panie, nad losem wasnym, widząc nędzę materii więzionej, gnębionej materii, która nie wie, kim jest i po co jest, dokąd prowadzi ten gest, który jej raz na zawsze nadano. Tumorze się. Czy rozumiecie straszny sadyzm, upajające, demiurgiczne okrucieństwo tego omechu? Bo przecież pakają nam, moje panie, trzeba nad losem wasnym na widok tej nędzy materii, gwałconej materii, na której dopuszczono się straszego bezprawia. Std pynie, moje panie, straszny smutek wszystkich bazeńskich golemów, wszystkich paub, zadumanych tragicznie nad omeśnym swym grymasem. Oto jest anarchista Luccheni, morderca cesarzowej Elżbiety, oto Draga, demoniczna i nieszczęśliwa królowa Serbii, oto genialny modziennic, nadzieja i duma rodu, którego zgubił nieszczęśny naóg onanii. O, ironio tych nazw, tych pozorów! Czy jest w tej paubie naprawdę coś z królowej Dragi, jej sobowtór, najdalszy bodaj

cień jej istoty? To podobieństwo, ten pozór, ta nazwa uspokaja nas i nie pozwala nam pytać, kim jest dla siebie samego ten twór nieszczęśliwy. A jednak to musi być ktoś, moje panie, ktoś anonimowy, ktoś groźny, ktoś nieszczęśliwy, ktoś, co nie sycza nigdy w swym guchym życiu o królowej Dradze... Czy syszelicie po nocach straszne wycie tych paub woskowych, zamkniętych w budach jarmarcznych, śmiały chór tych kadubów z drzewa i porcelany, walących pięściami w ściany swych więzień? W twarży mego ojca, rozwichrzonej groź spraw, które wywoła z ciemności, utworzy się wir zmarszczek, lej rosny w głąb, na którego dnie gorzał groźne oko prorocze. Broda jego zjeżyła się dziwnie, wiechcie i pędzle wosów, strzelające z brodawek, z pieprzów, z dziurek od nosa, nastroszyły się na swych korzonkach. Tak sta drzewy, z gorejącymi oczyma, drżąc od wewnętrznego wzburzenia, jak automat, który zaciął się i zatrzymał na martwym punkcie. Adela wstała z krzesła i poprosiła nas o przysmknięcie oczu na to, co się za chwilę stanie. Potem podesza do ojca i z rękoma na biodrach, przybierając pozór podkreślonej stanowczości, zaśmiała bardzo dobitnie... Panienci siedziały sztywno, ze spuszczoneymi oczyma, w dziwnej drzewności...

TRAKTAT O MANEKINACH Dokończenie Któregoś z następnych wieczorów ojciec

mój w te słowa ciągnął dalej swą prelekcję:—Nie o tych nieporozumieniach ucieleśnionych, nie o tych smutnych parodiach, moje panie, owocach prostackiej i wulgarnej niepowściągliwości—chciałem mówić zapowiadając mi rzecz o manekinach. Miałem na myśli coś innego. Tu ojciec mój zaczął budować przed naszymi oczyma obraz tej wymarzonej przez niego generacji aequivoce, jakiegoś pokolenia istot na wpół tylko organicznych, jakiejś pseudowegetacji i pseudofauny, rezultatów fantastycznej fermentacji materii. Były to twory podobne z pozoru do istot żywych, do kręgowców, skorupiaków, czonkonogów, lecz pozór ten mylił. Były to w istocie istoty amorfne, bez wewnętrznej struktury, podły imitacyjny tendencji materii, która obdarzona pamięcią, powtarzała z przyzwyczajenia raz przyjęte kształty. Skala morfologii, której podlegała materia, była w ogóle ograniczona i pewien zasób form powtarzała się wciąż na różnych kondygnacjach bytu. Istoty te—ruchliwe, wrażliwe na bodźce, a jednak dalekie od prawdziwego życia—można było otrzymać zawieszając pewne skomplikowane koloidy w roztworach soli kuchennej. Koloidy te po kilku dniach formowały się, organizowały w pewne zagęszczenia substancji przypominającej niższe formy fauny. U istot tak powstałych można było stwierdzić proces oddychania, przemianę materii, ale analiza chemiczna nie wykazywała w nich nawet śladu poczyniakowych ani w ogóle związków węgla. Wszelako prymitywne te formy bytowania w porównaniu z bogactwem kształtów i wspaniałości pseudofauny i flory, która pojawia się niekiedy w pewnych ściśle określonych środowiskach. Środowiskami tymi są stare mieszkania, przesycone emanacjami wielu żywotów i zdarzeń—żyła atmosfera, bogate w specyficzne składniki marzeń ludzkich—rumowiska, obfitujące w humus wspomnień, tęsknot, jałowej nudy. Na takiej glebie owa pseudowegetacja kiełkowała szybko i powierzchownie, pasywnie i efemerycznie, pędziła krótkotrwałe generacje, które rozkwitały raptownie i oświecnie,

ażeby wnet zgasnąć i zwiędnąć. Tapety muszą być w takich mieszkaniach już bardzo zużyte i znudzone nieustannymi wędrówkami po wszystkich kadencjach rytmów; nie dziwnego, że schodzą na manowce dalekich, ryzykownych rojeń. Rdzeń mebli, ich substancja musi już być rozluźniona, zdegenerowana i podlega występnyemu pokusom: wtedy na tej chorej, zmęczonej i zdziwiającej glebie wykwita, jak piękna wysypka, nalot fantastyczny, kolorowa, bujająca pleceń.–Wiedz panie–mówi ojciec mój–że w starych mieszkaniach bywają pokoje, o których się zapomina. Nie odwiedzane miesiącami, więdną w opuszczeniu między starymi murami i zdarza się, że zasklepią się w sobie, zarastają cegły, raz na zawsze stracone dla naszej pamięci, powoli tracą swój egzystencję. Drzewa, prowadzące do nich z jakiegociekiego podestu tylnych schodów, mogą być tak długi przeoczone przez domowników, aż wrastają, wchodzą w ocianę, która zaciera ich ciał w fantastycznym rysunku pęknięć i rys.–Wszedłem raz–mówi ojciec mój–wczesnym rankiem na schyłku zimy, po wielu miesiącach nieobecności, do takiego na wpół zapomnianego traktu i zdumiony byłem wyglądem tych pokoi. Z wszystkich szpar w podłodze, z wszystkich gzymsów i framug wystrzelały cienkie pędy i napieniały szare powietrze migotliwym koronkowym filigranowym listowiem, aż urow gościł jakiegociekiego ciepłarni, penej szeptów, łoenień, koysań, jakiegociekiego faszywej i bogiej wiosny. Dookoła ółka, pod wieloramiennymi lampami, wzdłuż szaf chwiały się kępy delikatnych drzew, rozpryskiwały w górę w oświetlone korony, w fontanny koronkowego listowia, bijące aż pod malowane niebo sufitu rozpylonym chlorofilem. W przyspieszonym procesie kwitnienia kiełkowały w tym listowiu ogromne, białe i różowe kwiaty, pęczkowały w oczach, bujały od ośrodka różowym miższem i przelewały się przez brzegi, gubiły patki i rozpadały się w przedkimi przekwitaniu.–Byłem szczęśliwy–mówi mój ojciec–z tego niespodzianego rozkwitu, który napenił powietrze migotliwym szelestem, agodnym szumem, przesypującym się jak kolorowe confetti przez cienkie różgi gazek. Widziałem, jak z drgania powietrza, z fermentacji zbyt bogatej aury wydziela się i materializuje to pospieszne kwitnienie, przelewanie się i rozpadanie fantastycznych oleandrów, które napeniły pokój rzadkim, leniwym cieniem wielkich, różowych kłoci kwiatnych.–Nim zapadł wieczór–kończy ojciec–nie było już ciału tego oświetlonego rozkwitu. Cóż żudna ta fatamorgana była tylko mistyfikacją, wypadkiem dziwnej symulacji materii, która podszywała się pod pozór życia. Ojciec mój był dnia tego dziwnie ożywiony, spojrzenia jego, chytne, ironiczne spojrzenia, tryskały werwą i humorem. Potem, nagle poważniejąc, znów rozpatrywała nieskończoną skalę form i odcieni, jakie przybierała wielokształtna materia. Fascynowała go formy graniczne, wtopliwe i problematyczne, jak ektoplazma somnambulików, pseudomateria, emanacja kataleptyczna mózgu, która w pewnych wypadkach rozrastała się z ust uciepionego na cały stół, napieniała cały pokój, jako bujająca, rzadka tkanka, astralne ciasto, na pograniczu ciała i ducha.–Kto wie–mówi–ile jest cierpiących, okaleczonych, fragmentarycznych postaci życia, jak sztucznie sklecone, gwoździem na gwałt zbite życie szaf i stołów, ukrzyżowanego drzewa, cichych męczenników okrutnej pomysłowości ludzkiej. Straszliwe transplantacje obcych i nienawidzonych się ras drzewa, skucie ich w jedną nieszczęśliwą osobowość. Ile starej, mądrej męki jest w bejcowanych sojach, życiach i fladrach naszych

starych, zaufanych szaf. Kto rozpozna w nich stare, zheblowane, wypolerowane do niepoznaki rysy, ucemiechy, spojrzenia! Twarz mego ojca, gdy to mówi, rozesza się zamyślon lineatur zmarszczek, staa się podobna do sêków i sojów starej deski, z której zheblowano wszystkie wspomnienia. Przez chwilę mycelelicemy, że ojciec popadnie w stan drêtwoty, który nawiedza go czasem, ale ockn się nagle, opamiêta i tak cign dalej:–Dawne, mistyczne plemiona balsamoway swych umarych. W œeciany ich mieszkani byy wprawione, wmurowane ctaa, twarze: w salonie sta ojciec–wypchany, wygarbowana żona-nieboszczka bya dywanem pod stoem. Znaem pewnego kapitana, który mia w swej kajucie lampê-meluzynê, zrobion przez malajskich balsamistów z jego zamordowanej kochanki. Na gowie miaa ogromne rogi jelenie. W ciszy kajuty gowa ta, rozpiêta miêdzy gaêziami rogów u stropu, powoli otwieraa rzêsy oczu; na rozchylonych ustach lœenia bonka œeliny, pêkajca od cichego szeptu. Gowonogi, żówie i ogromne kraby, zawieszone na belkach sufitu jako kandelabry i pajki, przebieray w tej ciszy bez koñca nogami, szy i szy na miejscu... Twarz mojego ojca przybraa naraz wyraz troski i smutku, gdy myœli jego na drogach nie wiedzieæ jakich asocjacji przeszy do nowych przykadów:–Czy mam przemilczeæ–mówi przyciszonym gosem–że brat mój na skutek dugiej i nieuleczalnej choroby zamieni się stopniowo w zwój kiszek gumowych,

że biedna moja kuzynka dniem i noc nosia go w poduszkach, nucc nieszczêeliwemu stworzeniu nieskoñczone koysanki nocy zimowych? Czy może byæ coœ smutniejszego ni¿ czowiek zamieniony w kiskê hegarow? Co za rozczarowanie dla rodziców, co za dezorientacja dla ich uczuæ, co za rozwianie wszystkich nadziei, wizanych z obiecujcym modzieñcem! A jednak wierna mioœæ biednej kuzynki towarzyszya mu i w tej przemianie. - Ach! nie mogê ju¿ du¿ej, nie mogê tego suchaæ!–jêknêa Polda przechylajc się na krzesele.–Ucisz go, Adelo... Dziewczêta wstaj, Adela podesza do ojca i wycigniętym palcem uczynia ruch zaznaczajcy askotanie. Ojciec stropi się, zamilk i zac, peen przerażenia, cofaæ się tyem przed kiwajcym się palcem Adeli. Ta sza za nim ciglê, gro¿c mu jadowicie palcem, i wypieraa go krok za krokiem z pokoju. Paulina ziewnêa przecigajc się. Obie z Pold, wsparte o siebie ramionami, spojrzay sobie w oczy z ucemiechem.

NEMROD Cay sierpieñ owego roku przebawiam się z maym, kapitalnym pieskiem, który pewnego dnia znalaz się na pododze naszej kuchni, niedoêzny i piszczcy, pachncy jeszcze mlekiem i niemowlêctwem, z nie uformowanym, okrgawym, dr¿cym ebkiem, z apkami jak u kreta rozkraczonymi na boki i z najdelikatniejsz, miêciutk sierœci. Od pierwszego wejrzenia zdobywa sobie ta kruszynka życia cay zachwyty, cay entuzjazm chopiêcej duszy. Z jakiego nieba spad tak niespodzianie ten ulubieniec bogów, miwszy sercu od najpiêknieszych zabawek? e te¿ stare, zgoa nieinteresujce pomywaczki wpadaj niekiedy na tak œwietne pomysly i przynosz z przedmieœcia–o cakiem wczesnej, transcendentalnej porannej godzinie–takiego oto pieska do naszej kuchni! Ach! byo się jeszcze–niestety–nieobecnym, nieurodzonym z ciemnego ona snu, a ju¿ to szczêœcie zioecio się, ju¿ czekao na nas,

niedoświadczony leżący na chodnej podłodze kuchni, nie docenione przez Adelę i domowników. Dlaczego nie obudzono mnie wcześniej! Talerzyk mleka na podłodze świadczy o macierzyńskich impulsach Adeli, świadczy niestety także i o chwilach przeszłości, dla mnie na zawsze straconej, o rozkoszach przybranego macierzyństwa, w których nie brałem udziału. Ale przede mną leżą jeszcze całe przyszłości. Jakiż bezmiar doświadczeń, eksperymentów, odkryć otwiera się teraz! Sekret życia, jego najistotniejsza tajemnica sprowadzona do tej prostszej, poręczniejszej i zabawkowej formy odsania się tu nienasyconej ciekawości. Było to nadwyraz interesujące, miałem na wasności tak odrobinkę życia, tak czystą wieczystą tajemnicę, w postaci tak zabawnej i nowej, budzącej nieskończoną ciekawość i respekt sekretny swobodności, niespodziany transpozycję tego samego wtku życia, który i w nas był, na formę od naszej odmienną, zwierzęcą. Zwierzęta! cel nienasyconej ciekawości, egzemplifikacje zagadki życia, jakby stworzone po to, by człowiekowi pokazać człowieka, rozkładając jego bogactwo i komplikację na tysiąc kalejdoskopowych możliwości, każdy doprowadzony do jakiegoś paradoksalnego krańca, do jakiegoś wybuchającego pęknięcia charakteru. Nieobcyżone splotem egzotycznych interesów, młodych stosunki międzyludzkie, otwierało się serce pełne sympatii dla obcych emanacji wiecznego życia, pełne miosnej współpracującej ciekawości, która była zamaskowanym gosem samopoznania. Piesek był aksamitny, ciepły i pulsujący młodym, pospiesznym sercem. Miała dwa miękkie patki uszu, niebieskawe, mętne oczka, różowe pyszczek, do którego można było włożyć palec bez żadnego niebezpieczeństwa, apki delikatne i niewinne, z wruszającymi różowymi brodawczkami z tyłu, nad stopami przednich nóg. Waził nimi do miski z mlekiem, żaroczysty i niecierpliwy, chepcy napój różowym jęczmikiem, ażeby po nasyceniu się podnieść doświadczenie ma morderkę z kropli mleka na brodzie i wyczołgać się niedoświadczony z kpieli mlecznej. Chód jego był niezgrabnym toczącym się, bokiem na ukoś w niezdecydowanym kierunku, po linii trochę pijanej i chwiejnej. Dominant jego nastroju była jakaś nieokreślona i zasadnicza żalność, sieroctwo i bezradność – niezdolność do zapalenia czymś pustki życia pomiędzy sensacjami posików. Objawiało się to bezplanowością i niekonsekwencją ruchów, irracjonalnymi napadami nostalgii z żalnym skłonieniem i niemożnością znalezienia sobie miejsca. Nawet jeszcze w głębi snu, w którym potrzebę oparcia się i przytulenia zaspokajał tak używając do tego wasnej swej osoby, zwinionej w kłębek drżący – towarzyszyło mu poczucie osamotnienia i bezdomności. Ach, życie – mój i wte życie, wypuszczone z zaufanej ciemności, z przytulnego ciepła ona macierzystego w wielki i obcy, oświetlony świat, jakże kurczy się ono i cofa, jak wzdryga się zaakceptować tę imprezę, którą mu proponują – pełne awersji i zniechęcenia! Lecz z wolna małemu Nemrodowi (otrzymał by to dumnie i wojowniczo imię) zaczyna smakować w życiu. Wyczone opanowanie obrazem macierzystej prądni ustępuje urokowi wielkości. Świat zaczyna nań nastawiać pułki: nieznaną a czarującą smak różnych pokarmów, czworobok porannego słońca na podłodze, na którym tak dobrze jest położyć się, ruchy wasnych członków, wasne apki, ogonek, figlarnie wyzywający do zabawy z samym sobą, pieszczoty ręki ludzkiej, pod którymi z wolna dojrzewa pewna swobodność, wesołość rozpierająca ciao i rodzica

potrzebê zgoa nowych, gwałtownych i ryzykownych ruchów–wszystko to przekupuje, przekonywa i zachêca do przyjêcia, do pogodzenia siê z eksperymentem Źycia. I jeszcze jedno. Nemrod zaczyna rozumieæ, Źe to, co mu siê tu podsuwa, mimo pozorów nowoœci jest w gruncie rzeczy czymœ, co juŹ byo–byo wiele razy–nieskoñczenie wiele razy. Jego ciao poznaje sytuacje, wraŹenia i przedmioty. W gruncie rzeczy to wszystko nie dziwi go zbyt. W obliczu kaŹdej nowej sytuacji daje nura w swój pamiêæ, w gêbok pamiêæ ciao, i szuka omackiem, gorczkowo–i bywa, Źe znajduje w sobie odpowiedni reakcjê juŹ gotow: mdroœæ pokoleñ, zoŹon w jego plazmie, w jego nerwach. Znajduje jakieœ czyny, decyzje, o których sam nie wiedzia, Źe juŹ w nim dojrza, Źe czeka na to, by wyskoczyæ. Sceneria jego modego Źycia, kuchnia z wonnymi ceburami, ze œcierkami o skomplikowanej i intrygujêcej woni, z kapaniem pantofli Adeli, z jej haœliwym krztaniem siê–nie straszy go wiêcej. Przywyk uwaŹaæ j za swój domenê, zadomowi siê w niej i pocz rozwijaæ w stosunku do niej niejasne poczucie przynaleŹnoœci, ojczyzny. Chyba Źe niespodzianie spada nañ kataklizm w postaci szorowania podogi–obalenie praw natury, chłusty ciepłego ugu, podmywajêce wszystkie meble, i groŹny szurgot szczotek Adeli. Ale niebezpieczeñstwo mija, szczotka uspokojona i nieruchoma leŹy cicho w kcie, schnca podoga pachnie mio mokrym drzewem. Nemrod, przywrócony znowu do swych normalnych praw i do swobody na terenie wasnym, czuje Źyw ochotê chwytææ zêbami stary koc na pododze i targaæ nim z caej siy na prawo i lewo. Pacyfikacja Źywioów napenia go niewymown radoœci. Wtem staje jak wryty: przed nim, o jakie trzy kroki pieskie, posuwa siê czarna maskara, potwór suncy szybko na prêcikach wielu pogmatwanych nóg. Do gêbi wstrzœniety Nemrod posuwa wzrokiem za skoœnym kursem byszczego owada, œledzc w napiêciu ten paski, bezgowy i œlepy kadub, niesiony niesamowit ruchliwoœci pajêczych nóg. Coœ w nim na ten widok wzbiera, coœ dojrzewa, pœcznieje, czego sam jeszcze nie rozumie, niby jakieœ gniew albo strach, lecz raczej przyjemny i poczony z dreszczem siy, samopoczucia, agresywnoœci. I nagle opada na przednie apki i wyrzuca z siebie gos, jeszcze jemu samemu nie znany, obcy, cakiem niepodobny do zwykłego kwilenia. Wyrzuca go z siebie raz, i jeszcze raz, i jeszcze, cienkim dyszkantem, który siê co chwila wykoleja. Ale nadaremnie apostrofuje owada w tym nowym, z nagego natchnienia zrodzonym jêzyku. W kategoriach umysu karakoniego nie ma miejsca na tê tyradê i owad odbywa dalej sw skoœen turê ku ktowi pokuju, wœród ruchów uœwiêconych

odwiecznym karakonim rytuaem. Wszelako uczucia nienawioœci nie maj jeszcze trwaœci i mocy w duszy pieska. Nowoobudzona radoœæ Źycia przeistacza kaŹde uczucie w wesooœæ. Nemrod szczeka jeszcze, lecz sens tego szczekania zmieni siê niepostrzeŹenie, stao siê ono swój wasn parodi–pragnê w gruncie rzeczy wysowiaæ niewymown udatnoœæ tej œwietnej imprezy Źycia, penej pikanterii, niespodzianych dreszczyków i point.

PAN W kcie miêdzy tylnymi œcianami szop i przybudówek by zaek podwórza, najdalsza, ostatnia odnoga, zamkniêta miêdzy komorê, wychodek i tyln œcianê kurnika–gucha zatoka, poza któr nie byo juŹ wyjœcia.

By to najdalszy przyłdek, Gibraltar tego podwórza, bijcy rozpaczliwie  
gow w cępey parkan z poziomych desek, zamykajc i ostateczn cecianê  
tego cewiat. Spod jego omszonych dyli wyciekaa strużka czarnej,  
cemierdzej wody, Źya gnijcego, tustego bota, nigdy nie wysychajca  
- jedyna droga, która poprzez granice parkanu wyprowadzaa w cewiat. Ale  
rozpacz smrodliwego zauka tak dugo bia gow w tē zaporê, aŹ  
rozluŹnia jedn z poziomych, potêŹnych desek. My, chopcy, dokonalicemy  
reszty i wywaŹyli, wysunêli ciêŹk omsza deskê z osady. Tak zrobilicemy  
wyom, otworzylcemy okno na soñce. Stanwszy nog na desce, rzuconej  
jak most przez kauŹê, móg wiêzieñ podwórza w poziomej pozycji  
przecisnæ siê przez szparê, która wypuszczaa go w nowy, przewiewny i  
rozlegy cewiat. By tam wielki, zdiczay stary ogród. Wysokie grusze,  
rozozyste jabonie rosy tu z rzadka potêŹnymi grupami, obsypane  
srebrnym szelestem, kipic siatk biaawych poysków. Bujna, zmieszana,  
nie koszona trawa pokrywaa puszystym koŹuchem falisty teren. By tam  
zwyke, trawiaste ŸdŸba kowe z pierzastymi kitami kosów; by  
delikatne filigrany dzikich pietruszek i marchwi; pomarszczone i  
szorstkie listki bluszczyków i cępeych pokrzyw, pachnce miêt;  
ykwate, byszczce babki, nakrapiane rdz, wystrzelajce kicœami  
grubej, czerwonej kaszy. Wszystko to, spltane i puszyste, przepojone  
byo agodnym powietrzem, podbite bēkitnym wiatrem i napuszczone  
niebem. Gdy siê leŹao w trawie, byo siê przykrytym ca bēkitn  
geografi oboków i pyncych kontynentów, oddychao siê ca rozleg  
map niebios. Od tego obcowania z powietrzem liœcie i pēdy pokryy siê  
delikatnymi woskami, miēkkim nalotem puchu, szorstk szczecin haczków,  
jak gdyby dla chwytania i zatrzymywania przepływów tlenu. Ten nalot  
delikatny i biaawy spokrewnia liœcie z atmosfer, dawa im srebrzysty,  
szary poysk fal powietrznych, cienistych zadumañ miēdzy dwoma byskami  
soñca. A jedna z tych roœlin, Źóta i pena mlecznego soku w blydych  
odygach, nadêta powietrzem, pēdzia ze swych pustych pēdów juŹ samo  
powietrze, sam puch w ksztacie pierzastych kul mleczowych rozsypywanych  
przez powiew i wsikajcych bezgoenie w bēkitn ciszê. Ogród by  
rozlegy i rozgaēziony kilku odnogami i mia rôŹne strefy i klimaty. W  
jednej stronie by otwarty, peen mleka niebios i powietrza, i tam  
podœciela niebu co najmiēksze, najdelikatniejsze, najpuszystsze zieleñ.  
Ale w miarê jak opada w gb dŹgiej odnogi i zanurza siê w cieñ  
miēdzy tyln cecianê opuszczonej fabryki wody sodowej, wyraŹnie  
pochmurnia, stawa siê opryskliwy i niedbay, zapuszcza siê dziko i  
niechlujnie, sroŹy siê pokrzywami, zjeŹa bodiakami, parszywia  
chwastem wszelkim, aŹ w samym koñcu miēdzy cecianami, w szerokiej  
prostoktnej zatoce traci wszelk miarê i wpada w sza. Tam to nie by  
juŹ sad, tylko parokszym szaleñstwa, wybuch wœciekoœci, cyniczny  
bezwstyd i rozpusta. Tam, rozbestwione, dajc upust swej pasji,  
panoszyy siê puste, zdiczay kapusty opuchów–ogromne wiedŸmy,  
rozdzielajce siê w biaj dzieñ ze swych szerokich spōdnic, zrzucajc je  
z siebie, spōdnica za spōdnic, aŹ ich wzdête, szelestne, dziurawe  
achmany oszalaymi patami grzebay pod sob kōtliwe to plemiē  
bēkarcie. A Źaroczne spōdnice puchy i rozpychay siê, piêtrzyy siê  
jedne na drugich, rozpieray i nakryway wzajem, rosnc razem wzdêt  
mas blach listnych, aŹ pod niski okap stoday. Tam to byo, gdiem go

ujrza jedyny raz w życiu, o nieprzytomnej od żaru godzinie poudnia. Bya to chwila, kiedy czas, oszalał i dziki, wyamuje się z kierunku zdarzeń i jak zbiegły wóczęga pędzi z krzykiem na przeaj przez pola. Wtedy lato, pozbawione kontroli, rocenie bez miary i rachuby na caej przestrzeni, rocenie z dzikim impetem na wszystkich punktach, w dwójnasób, w trójnasób, w inny jakieś, wyrodny czas, w nieznan dymensjê, w obêd. O tej godzinie opanowywa mnie sza owienia motyli, pasja oecigania tych migoccych plamek, tych bédnych, biaych patków, trzêscących się w rozognionym powietrzu niedoêżnym gzygzakiem. I zdarzyo się wówczas, że któraś z tych jaskrawych plamek rozpada się w locie na dwie, potem na trzy–i ten drgający, ocelepiający biaj trójpunkt wiódł mnie, jak bédny ognik, przez sza bodiaków, palcych się w sońcu. Dopiero na granicy opuchów zatrzymam się, nie oemieję się pogrżę w to guche zapadlisko. Wtedy nagle ujrzam go. Zanurzony po pachy w opuchach, kuca przede mn. Widziam jego grube bary w brudnej koszuli i niechlujny strzêp surduta. Przyczajony jak do skoku, siedzia tak–z barami jakby wielkim ciêżarem zgarbionymi. Ciao jego dyszao z natêżenia, a z miedzianej, byszczcej w sońcu twarzy la się pot. Nieruchomy, zdawa się ciêżko pracować, mocować się bez ruchu z jakimś ogromnym brzemieniem. Staem, przygwóżdżony jego wzrokiem, który mnie uj jakby w kleszcze. Bya to twarz wóczęgi lub pijaka. Wiechee brudnych kaków wicherzy się nad czoem wysokim i wypukym jak bua kamienna, utoczona przez rzekê. Ale czoo to byo skrêcone w gêbokie bruzdy. Nie wiadomo, czy ból, czy palcy żar sońca, czy nadludzkie natêżenie wkrêcio się tak w tê twarz i napiêo rysy do pêkniêcia. Czarne oczy wbiy się we mnie z natêżeniem najwyższej rozpaczny czy bólu. Te oczy patrzyły na mnie i nie patrzyły, widziały mnie i nie widziały wcale. Były to pękające gaki, wytêżone najwyższym uniesieniem bólu albo dziękosz natchnienia. I nagle z tych rysów, nacigniętych do pękniêcia, wyboczy się jakieś straszny, zaamany cierpieniem grymas i ten grymas rósł, brał w siebie tamten obêd i natchnienie, pęczniał nim, wybaczał się coraz bardziej, aż wyamał się ryczącym, charczącym kaszlem oemiechu. Do gębi wstrzœnięty, widziaem, jak huczc oemiechem z potêżnych piersi, dŷwignął się powoli z kucek i zgarbiony jak goryl, z rękoma w opadających achmanach spodni, ucieka, czapic przez opocce blachy opuchów, wielkimi skokami–Pan bez fletu, cofający się w popochu do swych ojczystych kniei.

PAN KAROL Po poudniu w sobotê mój wuj, Karol, wdowiec somiany, wybierał się pieszo do letniska, oddalonego o godzinê drogi od miasta, do żony i dzieci, które tam na wywczasach bawiy. Od czasu wyjazdu żony mieszkanie byo nie sprztane, óżko nie zaoecielane nigdy. Pan Karol przychodził do mieszkania późn noc, sponiewierany, spustoszony przez nocne pohulanki, przez które go wloky te dni upalne i puste. Zmiêta, chodna, dziko rozrzucona poeciel bya dlań wówczas jakoe bog przystani, wysp zbawcz, do której przypada ostatkiem si jak rozbitek, miotany wiele dni i nocy przez wzburzone morze. Omackiem, w ciemnooci zapadał się gdzieœ miêdzy białawe chmury, pasma i zway chodnego pierza i spał tak w niewiadomym kierunku, na wspak, gwał na dół, wbity ciemieniem w puszysty miêsz poecieli, jak gdyby chciał we

enie przewierciae, przewédrowaa na wskroœ te rosne noc, potêne masywy pierzyn. Walczy we cenie z t poœciel, jak pywak z wod, ugniata j i miesi ciaem, jak ogromn dzieê ciasta, w któr siê zapada, i budzi siê o szarym œwiecie zdyszany, oblany potem, wyrzucony na brzeg tego stosu poœcieli, którego zmóc nie móg w ciêkich zapasach nocnych. Tak na wpó wyrzucony z toni snu, wisia przez chwilê nieprzytomny na krawêdzi nocy, chwytajc piersiami powietrze, a poœciel rosa doko niego, pucha i nakisaa–i zarastaa go znowu zwaem ciêkiego, biaawego ciasta. Spa tak do póŹnego przedpoudnia, podczas gdy poduszki ukadady siê w wielk, bia, pask równinê, po której wédrowa uspokoiony sen jego. Tymi biaymi goœciñcami powraca powoli do siebie, do dnia, do jawy–i wreszcie otwiera oczy, jak œpicy pasaer, gdy pocig zatrzymuje siê na stacji. W pokoju panowa odstay pómrok z osadem wielu dni samotnoœci i ciszy. Tylko okno kipiao od rannego rojowiska much i story ponêy jaskrawo. Pan Karol wyziewa ze swego ciaa, z gêbi jam cielesnych, resztki dnia wczorajszego. To ziewanie chwytao go tak konwulsyjnie, jak gdyby chcio go odwróciæ na nice. Tak wyrzuca z siebie ten piasek, te ciêary–nie strawione restancje dnia wczorajszego. Uliywszy sobie w ten sposób, i swobodniejszy, wciga do notesu wydatki, kalkulowa, oblicza i marzy. Potem lea dugo nieruchomy, z szklanymi oczyma, które by koloru wody, wypuke i wilgotne. W wodnistym pómroku pokoju, rozjaœnionym refleksem dnia upalnego za storami, oczy jego jak maleñkie lusterka odbijay wszystkie byszcze przedmioty: biae plamy soñca w szparach okna, zoty prostokt stor, i powtarzay, jak kropla wody, cay pokój z cisz dywanów i pustych krzese. Tymczasem dzieñ za storami huczca coraz pomienniej bzykaniem much oszalaych od soñca. Okno nie mogo pomieœciæ tego biaego poaru i story omdleway od jasnych falowañ. Wtedy wywleka siê z poœcieli i siedzia jeszcze jakieœ czas na óku, stêkajc bezwiednie. Jego trzydziestokilkoletnie ciao zaczynao skaniaæ siê do korpulencji. W tym organizmie, nabrzmiewajcym tuszczem, znêkanym od naduayæ pciowych, ale wciê wzbierajcym bujnymi sokami, zdawa siê teraz zwolna dojrzewaa w tej ciszy jego przyszly los. Gdy tak siedzia w bezmyœelnym, wegetatywnym osupieniu, cay zamieniony w krzenie, w respiracjê, w gêbokie pulsowanie soków, rosa w gêbi jego ciaa, spoconego i pokrytego wosem w rozlicznych miejscach, jakœœ niewiadoma, nie sformuowana przyszooœæ, niby potworna naroœl, wyrastajca fantastycznie w nieznan dymensjê. Nie przeraa siê jej, gdyê czu juê swoj tosamooœæ z tym niewiadomym a ogromnym, które miao nadejœæ, i rós razem z nim bez sprzeciwu, w dziwnej zgodzie, zdrêtwiay spokojn groz, odpoznajc przyszego siebie w tych kolosalnych wykwitach, w tych fantastycznych spiêtrzeniach, które przed jego wzrokiem wewnêtrznym dojrzeway. Jedno jego oko lekko wtedy zbaczao na zewntrz, jak gdyby odchodzio w inny wymiar. Potem z tych bezmyœelnych otumanieni z tych zatraczonych dali powraca znów do siebie i do chwili; widzia swe stopy na dywanie, tuste i delikatne jak u kobiety, i powoli wyjmowa zote spinki z mankietów dziennej koszuli. Potem szed do kuchni i znajdowa tam w cienistym kcie wiaderko z wod, krêek cichego, czujnego zwierciada, które nañ tam czekao–jedyna ywa i wiedzca istota w tym pustym mieszkaniu. Nalewa do miednicy wody i

kosztowa skór jej modej i odstaje, sodkawej mokroceci. Dugo i starannie robi toaletê, nie spieszc siê i wczajc pauzy miêdzy poszczególne manipulacje. To mieszkanie, puste i zapuszczone, nie uznawao go, te meble i œeciany œeledziy za nim z milczc krytyk. Czu siê, wchodzc w ich ciszê, jak intruz w tym podwodnym, zatopionym królestwie, w którym pyn inny, odrêbny czas. Otwierajc wasne szuflady, mia uczucie zodieja i chodzi mimo woli na palcach, bojc siê obudziæ haaceliwe i nadmierne echo, czekajce draŹliwie na najlêjsz przyczynê, by wybuchnæ. A gdy wreszcie, idc cicho od szafy do szafy, znajdowa kawaek po kawaku wszystko potrzebne i koñczy toaletê wœród tych mebli, które toleroway go w milczeniu, z nieobecn min, i wreszcie by gotów, to stojc na odejœciu z kapeluszem w rêku, czu siê zaœenowany, Źe i w ostatniej chwili nie móg znaleŹæ sowa, które by rozwizao to wrogie milczenie, i odchodzi ku drzwiom zrezygnowany, zwolna, ze spuszczon gow–gdy w przeciwn stronê oddala siê tymczasem bez poœpiechu–w gb zwierciada–ktoœ odwrócony na zawsze plecami–przez pust amfiladê pokojów, które nie istniay.

SKLEPY CYNAMONOWE W okresie najkrótszych, sennych dni zimowych, ujêtych z obu stron, od poranku i od wieczora, w futrzane krawêdzie zmierzchów, gdy miasto rozgaêziao siê coraz gêbiej w labirynty zimowych nocy, z trudem przywoywane przez krótki œwit do opamiêtania, do powrotu–ojciec mój by juŹ zatracony, zaprzeczony, zaprzysięony tamtej sferze. Twarz jego i gowa zarastay wówczas bujnie i dziko siwym wosem, sterczym nieregularnie wiechciami, szczecinami, dugimi pêdzlami, strzelajcymi z brodawek, z brwi, z dziurek od nosa–co nadawao jego fizjonomii wygld starego, nastroszonego lisa. Wêch jego i such zaostrza siê niepomierne i znae byo po grze jego milczcej i napiêtej twarzy, Źe za poœrednictwem tych zmysów pozostaje on w cigym kontakcie z niewidzialnym œwiatem ciemnych zakamarków, dziur mysich, zmurszaych przestrzeni pustych pod podog i kanaów kominowych. Wszystkie chroboty, trzaski nocne, tajne, skrzypice Źycie podogi miay w nim nieomylnego i czujnego dostrzegacza, szpiega i wœpispiskowca. Absorbowao go to w tym stopniu, Źe pogrŹa siê zupenie w tej niedostêpnej dla nas sferze, z której nie próbowa zdawaæ nam sprawy. Nieraz musia strzepywaæ palcami i œmiaæ siê cicho do siebie samego, gdy te wybryki niewidzialnej sfery staway siê zbyt absurdaalne; porozumiewa siê wówczas spojrzeniem z naszym kotem, który równieŹ wtajemniczony w ten œwiat, podnosi sw cyniczn, zimn, porysowan prêgami twarz, mruŹc z nudów i obojêtnoœci skocne szparki oczu. Zdarzao siê podczas obiadu, Źe wœród jedzenia odkada nagle nój i widelec i z serwet zawizan pod szyj podnosi siê kocim ruchem, skrada na brzuoecach palców do drzwi ssiedniego, pustego pokoju i z największ ostroŹnoœci zaglda przez dziurkê od klucza. Potem wraca do stou, jakby zawstydzony, z zakopotanym uœmiechem, wœród mrukniêæ i niewyraŹnych mamrotañ, odnoszycych siê do wewnêtrznego monologu, w którym by pogrŹony. AŹeby mu sprawiæ pewn dystrakcjê i oderwaæ go od chorobliwych dociekañ, wycigaa go matka na wieczorne spacery, na które

szed, milcz, bez oporu, ale i bez przekonania, roztargniony i nieobecny duchem. Raz nawet poszlicemy do teatru. ZnaleŹlicemy siê znowu w tej wielkiej, Źle ocœwielonej i brudnej sali, penej sennego gwaru ludzkiego i bezadnego zamêtu. Ale gdy przebrnêlicemy przez ciŹbê ludzk, wynurzya siê przed nami olbrzymia bladomebieska kurtyna, jak niebo jakiegocœ innego firmamentu. Wielkie, malowane maski rŹcizowe, z wydêtymi policzkami, nurzay siê w ogromnym pŹciennym przestworzu. To sztuczne niebo szerzyo siê i pynêo wzduŹ i w poprzek, wzbierajc ogromnym tchem patosu i wielkich gestŹw, atmosfer tego œwiata sztucznego i penego blasku, który budowa siê tam, na dudniczych rusztowaniach sceny. Dreszcz pyncy przez wielkie oblicze tego nieba, oddech ogromnego pŹtna, od ktŹrego rosy i oŹyway maski, zdradza iluzorycznoœæ tego firmamentu, sprawia to drganie rzeczywistoœci, ktŹre w chwilach metafizycznych odczuwamy jako migotanie tajemnicy. Maski trzepotay czerwonymi powiekami, kolorowe wargi szeptaay coœ bezgŹocenie i wiedziaem, Źe przyjdzie chwila, kiedy napiêcie tajemnicy dojdzie do zenitu i wtedy wezbrane niebo kurtyny pêknie naprawdê, uniesie siê i ukaŹe rzeczy niesychane i oœniewajce. Lecz nie byo mi dane doczekaæ tej chwili, albowiem tymczasem ojciec zacz zdradzaæ pewne oznaki zaniepokojenia, chwytay siê za kieszenie i wreszcie œœwiadaczy, Źe zapomniay portfelu z pieniêdzmi i waŹnymi dokumentami. Po krŹtkiej naradzie z matk, w ktŹrej uczciwoœæ Adeli zostaa poddana pŹpiesznej, ryczatowej ocenie, zaproponowano mi, Źeby wyruszy do domu na poszukiwanie portfela. Zdaniem matki do rozpoczêcia widowiska byo jeszcze wiele czasu i przy mojej zwinnoœci mogem na czas powrŹciæ. Wyszedem w noc zimow, kolorow od iluminacji nieba. Bya to jedna z tych jasnyc nocy, w ktŹrych firmament gwiezdny jest tak rozlegly i rozgaêziony, jakby rozpad siê, rozama i podzieli na labirynt odrêbnych niebios, wystarczajcych do obdzielenia caego miesica nocy zimowyc i do nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kloszami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygŹd, awantur i karnawaŹw. Jest lekkomyœlnoœci nie do darowania wysyaa w tak noc modego chopca z misj waŹn i piln, albowiem w jej pŹœwietle zwielokrotniaj siê, plcz i wymieniaj jedne z drugimi ulice. Otwieraj siê w gêbi miasta, Źeby tak rzec, ulice podwŹjne, ulice sobowtŹry, ulice kamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraŹnia wytwarza zudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w ktŹrych te ulice maj swe miejsce i nazwê, a noc w niewyczerpanej swej podnoœci nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczaæ wciŹ nowych i urojonych konfiguracji. Te kuszenia nocy zimowyc zaczynaj siê zazwyczaj niewinnie od chêtki skrŹcenia sobie drogi, uŹycia niezwykego lub prêdszego przejŹcia. Powstaj ponêtne kombinacje przeciêcia zawiej wêdrŹwki jakœ nie wyprŹbowan przecznicy. Ale tym razem zaczêo siê inaczej. Uszedszy parê krokŹw, spostrzegem, Źe jestem bez paszcza. Chciaem zawrŹciæ, lecz po chwili wydao mi siê to niepotrzebn strat czasu, gdyŹ noc nie bya wcale zimna, przeciwnie - poŹykowana strugami dziwnego ciepca, tchnieniami jakiejœ faszywej wiosny. Œenieg skurczy siê w baranki biaœ, w niewinne i sodkie runo, ktŹre pachniao fiokami. W takie same baranki rozpuœciŹ siê niebo, w ktŹrym ksiêŹyc dwiŹ siê i troi, demonstrujc w tym zwielokrotnieniu wszystkie swe fazy i pozycje. Niebo obnaŹao tego dnia wewnêtrzn sw

konstrukcję w wielu jakby anatomicznych preparatach, pokazujących spirale i soje oświata, przekroje seledynowych bry nocy, plazmê przestworzy, tkankê rojeń nocnych. W tak noc nie podobna iœæ Podwalem ani ¿adn inn z ciemnych ulic, które s odwrotn stron, niejako podszewk czterech linii rynku, i nie przypominæ sobie, ¿e o tej pólnej porze bywaj czasem jeszcze otwarte niektóre z owych osobliwych a tyle nêccych sklepów, o których zapomina siê w dnie zwyczajne. Nazywam je sklepami cynamonowymi dla ciemnych boazeryj tej barwy, którymi s wyo¿one. Te prawdziwie szlachetne handle, w pólñ noc otwarte, byy zawsze przedmiotem moich gorczych marzeñ. Sabo oœwietlone, ciemne i uroczyte ich wnêtrza pachniay gêbokim zapachem farb, laku, kadzida, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiaów. Mogeœ tam znaleŸæ ognie bengalskie, szkatuki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chiñskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, ¿ywe salamandry i bazyliŸki, korzeñ Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunculusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe ksi¿ki, stare folianty pene przedziwnych rycin i oszoamiajcyh historyj. Pamiêtam tych starych i penych godnoœci kupców, którzy obsugiwali klientów ze spuszczoneymi oczyma, w dyskretnym milczeniu, i peni byli mdroœci i wyrozumienia dla ich najtajniejszych ¿yczeñ. Ale nade wszystko bya tam

jedna ksiêgarnia, w której raz ogldaem rzadkie i zakazane druki, publikacje tajnych klubów, zdejmujc zasonê z tajemnic drêczcych i upojnych. Tak rzadko zdarzaa siê sposobnoœæ odwiedzenia tych sklepów— i w dodatku z ma, lecz wystarczajc sum pieniêdzy w kieszeni. Nie mo¿na byo pominæ tej okazji mimo wa¿noœci misji powierzonej naszej gorliwoœci. Trzeba siê byo zapuœciæ wedug mego obliczenia w boczn uliczkê, minæ dwie albo trzy przecznice, a¿eby osignæ ulicê nocnych sklepów. To oddalao mnie od celu, ale mo¿na byo nadrobiæ spólñnienie, wracajc drog na upy Solne. Uskrzydlny pragnieniem zwiedzenia sklepów cynamonowych, skrêciem w wiadom mi ulicê i leciaem wiêcej, ani¿eli szedem, baczc, by nie zmyliæ drogi. Tak minem ju¿ trzeci czy czwart przecznicê, a upragnionej ulicy wci¿ nie byo. W dodatku nawet konfiguracja ulic nie odpowiadaa oczekiwanemu obrazowi. Sklepów ani œladu. Szedem ulic, której domy nie miay nigdzie bramy wchodowej, tylko okna szczelnie zamkniête, œlepe odblaskiem ksiê¿yca. Po drugiej stronie tych domów musi prowadziæ waœciwa ulica, od której te domy s dostêpne—myœlaem sobie. Z niepokojem przyspieszaem kroku, rezygnujc w duchu z myœli zwiedzenia sklepów. Byle tylko wydostaæ siê std prêdko w znane okolice miasta. Zbli¿aem siê do wylotu, pen niepokoju, gdzie te¿ ona mnie wyprowadzi. Wyszedem na szeroki, rzadko zabudowany goœciniec, bardzo dugi i prosty. Owia mnie od razu oddech szerokiej przestrzeni. Stay tam przy ulicy albo w gêbi ogrodów malownicze wille, ozdobne budynki bogaczy. W przerwach miêdzy nimi widniay parki i mury sadów. Obraz przypomina z daleka ulicê Leszniañsk w jej dolnych i rzadko zwiedzanych okolicach. Œwiato ksiê¿yca, rozpuszczone w tysicznych barankach, w uskach srebrnych na niebie, byo blade i tak jasne jak w dzieñ—tylko parki i ogrody czerniay w tym srebrnym krajobrazie. Przyjrzawszy siê bacznie jednemu z budynków, doszedem do

przekonania, że mam przed sobą tylną i nigdy nie widzianą stronę gmachu gimnazjalnego. Wacenie dochodzę do bramy, która ku memu zdziwieniu była otwarta, sięń oświetlona. Wszedłem i znalazłem się na czerwonym chodniku korytarza. Miałem nadzieję, że zdołam nie spostrzeżony przekraczać się przez budynek i wyjść przednią bramą, skracając sobie znakomicie drogę. Przypomniałem sobie, że o tej późnej godzinie musi się w sali profesora Arendta odbywać jedna z lekcji nadobowizkowych, prowadzona w późną noc, na które zbieraliśmy się zimą por, poniedziałek z zapałem do ćwiczeń rysunkowych, jakim natychmiast nas ten znakomity nauczyciel. Miał gromadkę pilnych, gubią się prawie w wielkiej ciemnej sali, na której ścianach ogromniały i amają się cienie naszych głów, rzucane od dwóch młotów świeczek ponocnych w szybkich butelek. Prawdę mówiąc, niewielecimy podczas tych godzin rysowali i profesor nie stawia zbyt ostrych wymagań. Niektórzy przynosili sobie z domu poduszki i ukadali się na awankach do powierzchownej drzemki. I tylko najpilniejsi rysowali pod samą świecę, w zoty kręgu jej blasku. Czekaliśmy zazwyczaj długo na przyjście profesora, nudząc się wśród sennych rozmów. Wreszcie otwierają się drzwi jego pokoju i wchodzimy, z pięknym brodem, pełnym ezoterycznych uśmiechów, dyskretnych przemilczeń i aromatu tajemnicy. Szybko zaciska za sobą drzwi gabinetu, przez które w momencie otworzenia toczy się za jego głowę cięba gipsowych cieni, fragmentów klasycznych, bolesnych Niobid, Danaid i Tantalidów, cały smutny i jałowy Olimp, wiedzący od lat w tym muzeum gipsów. Zmierzchnię tego pokoju mętnia i za dnia i przelewa się sennie od gipsowych marzeń, pustych spojrzeń, blednych owali i zamkniętych odchodzących w nicotę. Lubiliśmy nieraz podsuchiwać pod drzwiami ciszy, pełnej westchnień i szeptów tego kruszejcego w pajęczynach rumowiska, tego rozkadającego się w nudzie i monotonii zmierzchu bogów. Profesor przechadza się dostojnie, pełnym namaszczenia, wzdłuż pustych awank, wśród których rozrzuceni małymi grupkami, rysowaliśmy coś w szarym odbłasku nocy zimowej. Było zacisznie i sennie. Gdzieniedzie koledzy moi ukadali się do snu. Świeczki powoli dogasają w butelkach. Profesor pogrążył się w głęboką witrę, pełną starych foliów, staromodnych ilustracji, sztychów i druków. Pokazywała nam wśród ezoterycznych gestów stare litografie wieczornych pejzaży, gęstwiny nocne, aleje zimowych parków, czerniejące na białych drogach księżycowych. Wśród sennych rozmów upływa niespostrzeżenie czas i bieg nierównomiernie, robisz niejako węż w upływie godzin, poykając kędycę całe puste interwały trwania, Niespostrzeżenie, bez przejścia, odnajdywaliśmy nasz czeredę już w drodze powrotnej na białej od cienia ścieżce szpaleru, flankowanej czarnymi, suchymi gęstwami krzaków. Szliśmy wzdłuż tego wochatego brzegu ciemności, ocierając się o niedźwiedzie futro krzaków, trzaskających pod naszymi nogami w jasną noc bezksiężycową, w mleczny, faszowy dzień, daleko po północy. Rozprószone białe tego cwiata, mleczka ze cienia, z bladego powietrza, z mlecznych przestworzy, była jak szary papier sztychu, na którym głęboko czerniły się kreski i szrafirunki gęstych zarodków. Noc powtarza teraz głęboko po północy te serie nokturnów, sztychów nocnych profesora Arendta, kontynuowała jego fantazje. W tej czarnej gęstwinie parku, we wochatej sieroci zarodków, w masie kruchego chrustu były miejscami

nisze, gniazda najgębszej puszystej czarnoceci, pene pltaniny, sekretnych gestów, bezadnej rozmowy na migi. Byo w tych gniazdach zacisznie i ciepło. Siadalicemy tam na letnim miękkim oeniegu w naszych wochatych paszczach, zajadajc orzechy, których pena bya leszczynowa ta gęstwina w ow wiosenn zimê. Przez zarocela przewijaj siê bezgocenie kuny, asice i ichneumony, futrzane, wêszce zwierzotka, œmierdze kołuchem, wydużone, na niskich apkach. Podejrzewalicemy, że byy miêdzy nimi okazy gabinetu szkolnego, które choæ wypatroszone i ysiejce, uczuway w tê bia noc w swym pustym wnętrzu gos starego instynktu, gos rui, i wracay do matecznika na krótki, zudny żywot. Ale powoli fosforescencja wiosennego oeniegu mêtniaa i gasa i nadchodzia czarna i gęsta oæma przed œwitem. Niektórzy z nas zasypiali w ciepym oeniegu, inni domacywali siê w gęstwinie bram swych domów, wchodzili omackiem do ciemnych wnętrzy, w sen rodziców i braci, w dalszy cig gębokiego chrapania, które doganiali na swych spólnionych drogach. Te nocne seanse pene byy dla mnie tajemnego uroku, nie mogem i teraz pominæ sposobnoœci, by nie zaglndæ na moment do sali rysunkowej, postanawiajc, że nie pozwolê siê tam zatrzymac dużej nad krótk chwilkê. Ale wstêpujc po tylnych, cedrowych schodach, penych dŹwiêcznego rezonansu, poznaem, że znajdujê siê w obcej, nigdy nie widzianej stronie gmachu. Najlêjszy szmer nie przerywa tu solennej ciszy. Korytarze byy w tym skrzydle obszerniejsze, wysane pluszowym dywanem i pene wytwornoœci. Mae, ciemno ponce lampy œwieciy na ich

zagiêciach. Minwszy jedno takie kolano, znalazem siê na korytarzu jeszcze wiêkszym, strojnym w przepych paacowy. Jedna jego œcianaa otwieraa siê szerokimi, szklanymi arkadami do wnętrza mieszkania. Zaczynaa siê tu przed oczyma duga amfilada pokojów, biegnych w gb i urzdzonych z oœniewajc wspaniaoœci. Szpalerem obiaê jedwabnych, luster zoconych, kosztownych mebli i krysztaowych pajków bieg wzrok w puszysty miêsz tych zbytwnych wnętrzy, penych kolorowego wirowania i migotliwych arabesek, plczcych siê girland i pczkujcych kwiatów. Gęboka cisza tych pustych salonów pena bya tylko tajnych spojrzeñ, które oddaway sobie zwierciada, i popochu arabesek, biegnych wysoko fryzjami wzduż œcian i gubicznych siê w sztukateriach biaych sufitów. Z podziwem i czci staem przed tym przepychem, domycelaem siê, że nocna moja eskapada zaprowadzia mnie niespodzianie w skrzydo dyrektora, przed jego prywatne mieszkanie. Staem przygwożdżony ciekawoœci, z bijcym sercem, gotów do uciezki za najlêjszym szmerem. Jakże mógbym, przyapany, usprawiedliwiæ to moje nocne szpiegowanie, moje zuchwae wœcibstwo? W którymœ z gębokich pluszowych foteli moga, nie dostrzeżona i cicha, siedzieæ córeczka dyrektora i podnieœæ nagle na mnie oczy znad ksiżki–czarne, sybiliñskie, spokojne oczy, których spojrzenia nikt z nas wytrzymaæ nie umia. Ale cofnæ siê w poowie drogi, nie dokonawszy powziêtego planu, poczytabym by sobie za tchórzostwo. Zreszt gęboka cisza panowaa dookoaa w penych przepychu wnętrzach, œwietlonych przyœmionym œwiatem nie okreœlonej pory. Przez arkady korytarza widziaem na drugim koñcu wielkiego salonu duże, oszklone drzwi, prowadzce na taras. Byo tak cicho wokoo, że nabraem odwagi. Nie wydawao mi siê to poczone ze zbyt wielkim ryzykiem, zejœæ

z paru stopni, prowadzcych do poziomiu sali, w kilku susach przebiegnæ wielki, kosztowny dywan i znaleŹæ siê na tarasie, z którego bez trudu dostaa siê mogem na dobrze mi znan ulicê. Uczyniem tak. Zeszedszy na parkiety salonu, pod wielkie palmy, wystrzelajce tam z wazonów aŹ do arabesek sufitu, spostrzegem, Źe znajdujê siê juŹ waciciwie na gruncie neutralnym, gdyŹ salon nie mia wcale przedniej œeciany. By on rodzajem wielkiej loggii, czcej siê przy pomocy paru stopni z placem miejskim. Bya to niejako odnoga tego placu i niektóre meble stay juŹ na bruku. Zbiegem z kilku kamiennych schodów i znalazem siê znów na ulicy. Konstelacje stay juŹ stromo na gowie, wszystkie gwiazdy przekrêciy siê na drug stronê, ale ksiêŹyc, zagrzebany w pierzynie oboczków, które rozœwietla sw niewidzialn obecnoœci, zdawa siê mieæ przed sob jeszcze nieskończon drogê i, zatopiony w swych zawiych procederach niebieskich, nie myœla o œewicie. Na ulicy czerniao kilka doroŹek, rozjechanych i rozklekotanych jak kalekie, drzemice kraby czy karakony. WoŹnica nachyli siê z wysokiego koza. Mia twarz drobn, czerwón i dobroduszn.–Pojedziemy, paniczu?–zapyta. Powóz zadygota we wszystkich stawach i przegubach swego wieloczonkowego ciaa i ruszy na lekkich obrêczach. Ale kto w tak noc powierza siê kaprysom nieobliczalnego doroŹkarza? Wœród klekotu szprych, wœród dudnienia puda i budy nie mogem porozumieæ siê z nim co do celu drogi. Kiwa na wszystko niedbale i pobaŹliwie gow i podœpiwywa sobie, jadc drog okrêŹn przez miasto. Przed jakimœ szynkiem staa grupa doroŹkarzy, kiwajc nañ przyjaŹnie rêkami. Odpowiedzia im coœ radoœnie, po czym nie zatrzymujc pojazdu, rzuci mi lejce na kolana, spuœci siê z koza i przyczy do gromady kolegów. Koñ, stary mdry koñ doroŹkarski, ogldn siê pobieŹnie i pojecha dalej jednostaŹnym, doroŹkarskim kusem. Waciciwie koñ ten budzi zaufanie–wydawa siê mdrzejszy od woŹnicy. Ale powoziaem–trzeba siê byo zdaæ na jego wolê. Wjechalioemy na podmiejsk ulicê ujêt z obu stron w ogrody. Ogrody te przechodziy zwolna, w miarê posuwania siê, w parki wielkodrzewne, a te w lasy. Nie zapomnê nigdy tej jazdy œwietlistej w najjaœniejsz noc zimow. Kolorowa mapa niebios wyogromniaa w kopuê niezmiern, na której spiêtrzyy siê fantastyczne ldy, oceany i morza, porysowane liniami wirów i prdów gwiezdnych, œwietlistymi liniami geografii niebieskiej. Powietrze stao siê lekkie do oddychania i œwietlane jak gaza srebrna. Pachniao fiokami. Spod wenianego jak biae karakuy œniegu wychylay siê anemony drŹce, z iskr œwiata ksiêŹycowego w delikatnym kielichu. Las cay zdawa siê iluminowaæ tysicznymi œwiatami, gwiazdami, które rzêsiœcie roni grudniowy firmament. Powietrze dyszao jakœ tajn wiosn, niewypowiedzian czystoœci œniegu i fioków. Wjechalioemy w teren pagórkowaty. Linie wzgórzy, wochatych nagimi rózgami drzew, podnosiy siê jak bogie westchnienia w niebo. Ujrzaem na tych szczêeliwych zboczach cae grupy wêdrowców, zbierajcych wœród mchu i krzaków opade i mokre od œniegu gwiazdy. Droga staa siê stroma, koñ poœlizgiwa siê i z trudem cign pojazd, grajcy wszystkimi przegubami. Byem szczêeliwy. Pierœ moja wchaniaa tê bog wiosnê powietrza, œwieŹoœæ gwiazd i œniegu. Przed piersi konia zbiera siê wa biaej piany œnieŹnej, coraz wyŹszy i wyŹszy. Z trudem przekopywa siê koñ przez czyst i œwieŹ jego masê. Wreszcie usta.

Wyszedem z dorożki. Dysza cięko ze zwieszon gow. Przytuliem jego eb do piersi, w jego wielkich czarnych oczach loeniy zy. Wtedy ujrzaem na jego brzuchu okrę czarn ranê.—Dlaczego mi nie powiedziaeœ?—szepnem ze zami.—Drogi mój—to dla ciebie—rzek i sta siê bardzo may, jak konik z drzewa. Opuœciem go. Czujem siê dziwnie lekki i szczêeliwy. Zastanawiaem siê, czy czekaæ na ma kolejkê lokaln, która tu zajêdã, czy te¿ pieszo wróciæ do miasta. Zaczem schodziæ strom serpentyn wœród lasu, pocztkowo idc krokiem lekkim, elastycznym, potem, nabierajc rozpêdu, przeszedem w posuwisty szczêeliwy bieg, który zmieni siê wnet w jazdê jak na nartach. Mogem dowoli regulowaæ szybkoœæ, kierowaæ jazd przy pomocy lekkich zwrotów ciaa. W pobliżu miasta zahamowaem ten bieg tryumfalny, zmieniajc go na przyzwoity krok spacerowy. Ksiêyc sta jeszcze cigle wysoko. Transformacje nieba, metamorfozy jego wielokrotnych sklepieñ w coraz to kunsztowniejsze konfiguracje nie miay koñca. Jak srebrne astrolabium otwierao niebo w tê noc czarodziejsk mechanizm wnêtrza i ukazywao w nieskoñczonych ewolucjach zocist matematykê swych kó i trybów. Na rynku spotkaem ludzi zajywajcych przechadzki. Wszyscy, oczarowani widowiskiem tej nocy, mieli twarze wzniesione i srebrne od magii nieba. Troska o portfel opuœcia mnie zupenie. Ojciec, pogrżony w swych dziwactwach, zapewne zapomnia ju¿ o zgubie, o matkê nie dbaem. W tak noc, jedyn w roku, przychodz szczêeliwe myœli, natchnienia, wieszce tkniêcia palca bożego. Peen pomysłów i inspiracji, chciaem skierowaæ siê do domu, gdy zaszli mi drogê koledzy z księkami pod pach. Zbyt wczesnie wyszli do szkoy, obudzeni jasnoœci tej nocy, która nie

chciaa siê skoñczyæ. Poszliemy gromad na spacer stromo spadajc ulic, z której wia powiew fioków, niepewni, czy to jeszcze magia nocy srebrzya siê na œniegu, czy te¿ œwit ju¿ wstawa...

ULICA KROKODYLI Mój ojciec przechowywa w dolnej szufladzie swego gêbokiego biurka star i piêkn mapê naszego miasta. By to cay wolumen in folio pergaminowych kart, które pierwotnie spojone skrawkami pótna, tworzyy ogromn mapê œcienn w ksztacie panoramy z ptasiej perspektywy. Zawieszona na œcianie, zajmowaa niemal przestrzeñ caego pokoju i otwieraa daleki widok na ca dolinê Tyœmienicy, wijcej siê falisto bladozot wstêg, na cae pojezierze szeroko rozlanych moczarów i stawów, na pofadowane przedgórze, cignce siê ku poudniowi, naprzód z rzadka, potem coraz tumniejszymi pasmami, szachownic okrągawych wzgórzy, coraz mniejszych i coraz bledszych, w miarê jak odchodziy ku zotawej i dymnej mgle horyzontu. Z tej zwiêdej dali peryferii wynurzao siê miasto i roso ku przodowi, naprzód jeszcze w nie zróznicowanych kompleksach, w zwartych blokach i masach domów, poprzecinanych gêbokimi parowami ulic, by bliżej jeszcze wyodrêbniæ siê w pojedyncze kamienice, sztychowane z ostr wyrazistoœci widoków ogldanych przez lunetê. Na tych bliższych planach wydoby sztycharz cay zawikany i wieloraki zgiek ulic i zauków, ostr wyrazistoœæ gzymsów, architrawów, archiwolt i pilastrów, œwieccych w pólŃnym i ciemnym zocie pochmurnego popoœnia, które pogrza wszystkie zaomy i framugi w gêbokiej sepilii cienia. Bryy i przyzmy tego cienia wcinay

się, jak plastry ciemnego miodu, w wozy ulic, zatapiały w swej cieplej, soczystej masie tu ca powę ulicy, tam wyom między domami, dramatyzowały i orkiestrowały ponur romantyk cieni tę wieloraką polifonię architektoniczną. Na tym planie, wykonanym w stylu barokowych prospektów, okolica Ulicy Krokodylej cewiecia pustą biel, jak na kartach geograficznych zwykło się oznaczać okolice podbiegunowe, krainy niezbadane i niepewnej egzystencji. Tylko linie kilku ulic wrysowane tam były czarnymi kreskami i opatrzone nazwami w prostym, nieozdobnym piśmie, w odróżnieniu od szlachetnej antyki innych napisów. Widocznie kartograf wzbrania się uznać przynależność tej dzielnicy do zespołu miasta i zastrzeżenie swe wyraził w tym odrębnym i postępowym wykonaniu. Aby zrozumieć tę rezerwę, musimy już teraz zwrócić uwagę na dwuznaczny i wtłpliwy charakter tej dzielnicy, tak bardzo odbiegający od zasadniczego tonu całego miasta. Był to dystrykt przemysłowo-handlowy z podkreślonym jaskrawo charakterem trzęsawej ułtkowości. Duch czasu, mechanizm ekonomiki, nie oszczędził i naszego miasta i zapuścił korzenie na skrawku jego peryferii, gdzie rozwinęła się w pasywną dzielnicę. Kiedy w starym mieście panowała wciąż jeszcze nocny, pokutny handel, pełen solennej ceremonialności, w tej nowej dzielnicy rozwinęła się od razu nowoczesna, trzęsawa forma komercjalizmu. Pseudoamerykanizm, zaszczerpiony na starym, zmurszałym gruncie miasta, wystrzelił tu bujny, lecz pusty i bezbarwny wiejce tandetny, lichy pretensjonalności. Widział się tam tanie, marnie budowane kamienice o karykaturalnych fasadach, oblepione monstrualnymi sztukateriami z popękanej gipsu. Stare, krzywe domki podmiejskie otrzymane szybko sklecone portale, które dopiero bliższe przyjrzenie demaskowało jako nędzne imitacje wielkomiejskich urzędów. Wadliwe, mętne i brudne szyby, amice w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, nie heblowane drzewo portali, szara atmosfera jaowych tych wnętrzy, osiadających pajęczyn i kakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż odartych i kruszcących się ścian, wyciskają tu, na sklepach, piętno dzikiego Klondike'u. Tak cignęła się jeden za drugim, magazyny krawców, konfekcje, składy porcelany, drogerie, zakłady fryzjerskie. Szare ich, wielkie szyby wystawowe nosiły ukocenie lub w półkole biegnące napisy ze zoconych plastycznych liter: CONFISERIE, MANUCURE, KING OF ENGLAND. Rdzenni mieszkańcy miasta trzymali się z dala od tej okolicy, zamieszkiwanej przez szumowiny, przez gminy, przez kreatury bez charakteru, bez gęstości, przez istniejące lichotę moralną, tę tandetną odmianę człowieka, która rodzi się w takich efemerycznych ośrodkach. Ale w dniach upadku, w godzinach niskiej pokusy zdarzało się, że ten lub ów z mieszkańców miasta zabkiwa się na wprost przypadkiem w tę wtłpliwą dzielnicę. Najlepsi nie byli czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniwelowania granic i hierarchii, pawienia się w tym pytkim bociu wspólnoty, atwej intymności, brudnego zmieszania. Dzielnica ta była eldoradem takich dezertów moralnych, takich zbiegów spod sztandaru godności wasnej. Wszystko zdawało się tam podejrzane i dwuznaczne, wszystko zapraszało sekretnym mrugnięciem, cynicznie artykuowanym gestem, wyraźnie przymrużonym perskim okiem – do nieczystych nadziei, wszystko wyzwalało z pięć niską naturę. Mao kto, nie uprzedzony, spostrzega dziwn

osobliwość tej dzielnicy: brak barw, jak gdyby w tym tandetnym, w pociechu wyrosym mieście nie można było sobie pozwolić na luksus kolorów. Wszystko tam było szare jak na jednobarwnych fotografiach, jak w ilustrowanych prospektach. Podobieństwo to wychodziło poza zwykłą metaforę, gdyż chwilami, wędrując po tej części miasta, miało się w istocie wrażenie, że wertuje się w jakimś prospekcie, w nudnych rubrykach komercyjnych ogłoszeń, wśród których zaginęły się pasywnie podejrzane anonse, drażliwe notatki, wrażliwe ilustracje; i wędrowni te były równie jałowe i bez rezultatu jak ekscytacje fantazji, pędzonej przez szpalty i kolumny pornograficznych druków. Wchodziło się do jakiegoś krawca, żeby zamówić ubranie—ubranie o taniej elegancji, tak charakterystycznej dla tej dzielnicy. Lokal był wielki i pusty, bardzo wysoki i bezbarwny. Ogromne wielopiętrowe poki wznosiły się jedno nad drugim w nie określonej wysokości tej hali. Kondygnacje pustych pokoi wyprowadzają wzrok w górę aż pod sufit, który może być niebem—lichem, bezbarwnym, odrapanym niebem tej dzielnicy. Natomiast dalsze magazyny, które widać przez otwarte drzwi, pnie się aż pod sufit pudeł i kartonów, piętrzących się ogromne kartoteki, która rozpada się w górę, pod zagmatwanym niebem strychu w kubaturę pustki, w jałowy budulec niczego. Przez wielkie szare okna, kratkowane wielokrotnie jak arkusze papieru kancelaryjnego, nie wchodzi światło, gdyż przestrzeń sklepu już napełniona jest, jak woda, indyferentnym szarym powietrzem, która nie rzuca cienia i nie akcentuje niczego. Wnet nawija się jakieś smuky modzieńce, zadziwiająco usztywnione, giętkie i nieodporne, ażeby dogodzić naszym życzeniom i zalać nas taniemi i atw wymowami subiekta. Ale gdy, gadając, rozwija ogromne postawy sukna, przymierza, faduje i drapuje niekończąc się strugę materiału, przepływając przez jego ręce, formując z jego fał iluzoryczne surduty i spodnie, cała ta manipulacja wydaje się czymś nieistotnym, pozorem, komedią, ironicznie zarzuconą zason na prawdziwy sens sprawy. Panięki sklepowe, smukie i czarne, każą z jakiegoś skądś piękności (charakterystycznej dla tej dzielnicy wybrakowanych artykułów), wchodzi i wychodzi, staje w drzwiach

magazynów, sondując oczyma, czy rzecz wiadoma (powierzona doświadczonym rekonstruktorom subiekta) dojrzeła do punktu wycieczki. Subjekt przymila się i kryguje i chwilami robi wrażenie transwestyty. Chciałoby się go ująć pod miękko zarysowaną brodę lub uszczypnąć w upudrowany błąd policzek, gdy z porozumiewawczym spojrzeniem dyskretnie zwraca uwagę na markę ochronną towaru, markę o przejrzystej symbolice. Zwolna sprawa wyboru ubrania schodzi na plan dalszy. Ten miękki do efeminacji i zepsuty modzieńce, pełen zrozumienia dla najintymniejszych poruszeń klienta, przesuwają teraz przed jego oczyma osobliwe marki ochronne, cała bibliotekę znaków ochronnych, gabinet kolekcjonerski wyrafinowanego zbieracza. Pokazywał się wówczas, że magazyn konfekcji był tylko fasadą, za którą kryła się antykwarnia, zbiór wysoce dwuznacznych wydawnictw i druków prywatnych. Usztywniony subjekt otwiera dalsze składy, wypenione aż pod sufit książkami, rycinami, fotografiami. Te winiety, te ryciny przechodzą stokrotnie najciemniejsze nasze marzenia. Takich kulminacji zepsucia, takich wymyślności wyuzdania nie przeczuwaliśmy

nigdy. Panienki sklepowe przesuwaj się coraz częściej pomiędzy szeregami księzek, szare i papierowe, ale pene pigmentu w zepsutych twarzach, ciemnego pigmentu brunetek o łonicej i tustej czarnooci, która zaczajona w oczach, z naga wybiega z nich zygzakiem łonicego karakoniego biegu. Ale i w spalonych rumieńcach, w pikantnych stygmatach pieprzyków, we wstydlivych znamionach ciemnego puszkua zdradza się rasa zapiekaj, czarnej krwi. Ten barwik o nazbyt intensywnaj mocy, ta mokka gęsta i aromatyczna zdawaa się plamia księki, które bray one do oliwkowej doni, ich dotknięcia zdaway się je farbowaa i zostawiaa w powietrzu ciemny deszcz piegów, smugę tabaki, jak purchawka o podniecaajcej, animalnej woni. Tymczasem powszechna rozwizocaa zrzucaa coraz bardziej hamulce pozorów. Subiekt, wyczerpawszy sw natarczyw aktywnocaa, przechodzi powoli do kobiecej biernooci. Leży teraz na jednej z wielu kanap, porozstawianych wocród rejonów księek, w jedwabnej pidłamie, odsaniaajcej kobiecej dekolt. Panienki demonstruj, jedna przed drug, figury i pozycje rycin okadkowych, inne zasypiaj już na prowizorycznych posaniach. Nacisk na klienta rozluŹnia się. Wypuszczano go z kręgu natarczywego zainteresowania, pozostawiano sobie samemu. Subiektki, zajęte rozmow, nie zwracay nań więcej uwagi. Odwrócone do niego tyem lub bokiem, przystaway w aroganckim kontra pocie, przestępoway z nogi na nogę, grajc kokieterijnym obuwiem, przepuszczay z góry na dó po smukym cieie wêłow grę czonków, atakujc ni spoza swej niedbaej nieodpowiedzialnooci podnieconego widza, którego ignoroway. Tak cofano się, wsuwano w gb z wyrachowaniem, otwierajc woln przestrzeń dla aktywnooci gocicia. Skorzystajmy z tego momentu nieuwagi, ażeby wymknę się nieprzewidzianym konsekwencjom tej niewinnej wizyty i wydostaa się na ulicę. Nikt nas nie zatrzymuje. Przez korytarze księek, pomiędzy dugimi regaami czasopism i druków wydostajemy się ze sklepu i oto jesteemy w tym miejscu Ulicy Krokodylej, gdzie z wyniesionego jej punktu widaa niemal ca dugocaa tego szerokiego traktu aż do dalekich, nie wykończonych zabudowań dworca kolejowego. Jest to szary dzień, jak zawsze w tej okolicy, i caa sceneria wydaje się chwilami fotografi z ilustrowanej gazety, tak szare, tak paskie s domy, ludzie i pojazdy. Ta rzeczywistocaa jest cienka jak papier i wszystkimi szparami zdradza sw imitatywnocaa. Chwilami ma się wrazenie, że tylko na maym skrawku przed nami ukada się wszystko przykadnie w ten pointowany obraz bulwaru wielkomiejskiego, gdy tymczasem już na bokach rozwizuje się i rozpręga ta zaimprowizowana maskarada i, niezdolna wytrwaa w swej roli, rozpada się za nami w gips i pakuy, w rupieciarnię jakiegoc ogromnego pustego teatru. Napięcie pozy, sztuczna powaga maski, ironiczny patos drży na tym naskórku. Ale dalecy jesteemy od chęci demaskowania widowiska. Wbrew lepszej wiedzy czujemy się wcignięci w tandetny czar dzielnicy. Zreszt nie brak w obrazie miasta i pewnych cech autoparodii. Rzedy maych, parterowych domków podmiejskich zmieniaj się z wielopiętrowymi kamienicami, które zbudowane jak z kartonu, s konglomeratem szyldów, cęlepych okien biurowych, szklistoszarych wystaw, reklam i numerów. Pod domami pynie rzeka tumu. Ulica jest szeroka jak bulwar wielkomiejski, ale jezdnia, jak place wiejskie, zrobiona jest z ubitej gliny, pena wybojów, kauży i trawy. Ruch uliczny dzielnicy suży do porównań w tym

miećcie, mieszkańcy mówi o nim z dum i porozumiewawczym byskiem w oku. Szary, bezosobisty ten tum jest nader przejęty sw rol i peen gorliwoćci w demonstrowaniu wielkomijskiego pozoru. Wszelako, mimo zaafierowania i interesownoćci, ma się wraźenie bédnej, monotonnej, bezcelowej wêdrówki, jakiegoś sennego korowodu marionetek. Atmosfera dziwnej bahoćci przenika tē ca sceneriē. Tum pynie monotownie i, rzecz dziwna, widzi się go zawsze jakby niewyraŹnie, figury przepywaj w spltanym, agodnym zgieku, nie dochodzc do zupenej wyrazistoćci. Czasem tylko wyawiamy z tego gwaru wielu gów jakiegoś ciemne, Źywe spojrzenie, jakiegoś czarny melonik nasuniēty gēboko na gowē, jakiegoś pó twarzy rozdarte ucemiechem, z ustami, które waćenie coce powiedziay, jakoe nogē wysuniēt w kroku i tak juź zastyg na zawsze. Osobliwoćci dzielnicy s dorozki bez woŹniców, biegnce samopas po ulicach. Nie jakoby nie byo tu dorozkarzy, ale wmieszani w tum i zajēci tysicem spraw, nie troszcz się o swe dorozki. W tej dzielnicy pozoru i pustego gestu nie przywizuje się zbytnej wagi do oćcisego celu jazdy i pasazerowie powierzaj się tym bédnym pojazdom z lekkomyślnoćci, która cechuje tu wszystko. Nieraz moźna ich widzieæ na niebezpiecznych zakrētach, wychylonych daleko z poamanej budy, jak z lejcami w doniach przeprowadzaj z natēżeniem trudny manewr wymijania. Mamy w tej dzielnicy takje tramwaje. Ambicja rajców miejskich oewiēci tu najwyŹszy swój triumf. Ale poŹaowania godny jest widok tych wozów, zrobionych z papier mäché, o oćcianach powyginanych i zmiētych od wieloletniego uŹytku. Czēsto brak im zupenie przedniej oćciany tak, je widzieæ moźna w przejeŹdzie pasazerów, siedzcych sztywnie i zachowujcych się z wielk godnoćci. Tramwaje te popychane s przez tragarzy miejskich. Najdziwniejsz atoli rzecz jest komunikacja kolejowa na Ulicy Krokodylej. Czasami, w nieregularnych porach dnia, gdzieœ ku koñcowi tygodnia moźna zauwaźyæ tum ludzi czekajcych na zakrēcie ulicy na pocig. Nie jest się nigdy pewnym, czy przyjedzie i gdzie stanie, i zdarza się czēsto, je ludzie ustawiaj się w dwóch róźnych punktach, nie mogc uzgodniæ swych pogldów na miejsce przystanku. Czekaj dugo i stoj czarnym milczym tumem wzduź ledwo zarysowanych œladów toru, z twarzami w profilu, jak szereg blydych masek z papieru, wyciētych w fantastyczn liniē zapatrzenia. I wreszcie niespodzianie zajēdźa, juź

wjecha z bocznej uliczki, skd go oczekiwano, niski jak wŹ, miniaturowy, z ma, sapic, krēp lokomotyw. Wjecha w ten czarny szpaler i ulica staje się ciemna od tego cigu wozów, siejcych py wēglowy. Ciemne sapanie parowozu i powiew dziwnej powagi, penej smutku, tumiony poćpiech i zdenerwowanie zamieniaj ulicē na chwilē w halē dworca kolejowego w szybko zapadajcym zmierzchu zimowym. Plag naszego miasta jest aŹiotaŹ biletów kolejowych i przekupstwo. W ostatniej chwili, gdy pocig juź stoi na stacji, tocz się w nerwowym poćpiechu pertraktacje z przekupnymi urzēdnikami linii Źelaznej. Zanim te negocjacje się kończ, pocig rusza, odprowadzany przez wolno suncy, rozczarowany tum, który odprowadza go daleko, a jeby się wreszcie rozproszyæ. Ulica, zacieoeniona na chwilē do tego zaimprovizowanego dworca, penego zmierzchu i tchnienia dalekich dróg–rozwidnia się znowu, rozszerza i przepuszcza znów swym korytem beztroski monotorny

tum spacerowiczów, który wędruje wśród gwaru rozmów wzduż wystaw sklepowych, tych brudnych, szarych czworoboków, penych tandetnych towarów, wielkich woskowych manekinów i lalek fryzjerskich. Wyzywajco ubrane, w dugich koronkowych sukniach przechodz prostytutki. Mog to być zreszt żony fryzjerów lub kapelmistrzów kawiarnianych. Id drapieżnym, posuwistym krokiem i maj w niedobrych, zepsutych twarzach nieznaczn skazę, która je przekreśla: zezuj czarnym, krzywym zezem lub maj usta rozdarte, lub brak im koniuszka nosa. Mieszkańcy miasta dumni s z tego odoru zepsucia, którym tchnie Ulica Krokodyli. Nie mamy potrzeby niczego sobie odmawiać-myćel z dum-stać nas i na prawdziw wielkomijsk rozpustę. Twierdz oni, że każda kobieta w tej dzielnicy jest kokot. W istocie wystarczy zwrócić uwagę na któreś-a natychmiast spotyka się to uporczywe, lepkie spojrzenie, które nas zmraża rozkoszn pewnooci. Nawet dziewczęta szkolne nosz tu w pewien charakterystyczny sposób kokardy, stawiaj swoist manier smuke nogi i maj tę nieczyst skazę w spojrzeniu, w której leży preformowane przyszłe zepsucie. A jednak-a jednak czy mamy zdradzić ostatni tajemnicę tej dzielnicy, troskliwie ukrywany sekret Ulicy Krokodyli? Kilkakrotnie w trakcie naszego sprawozdania stawialiemy pewne znaki ostrzegawcze, dawaliemy w delikatny sposób wyraz naszym zastrzeżeniom. Uważny czytelnik nie będzie nie przygotowany na ten ostateczny obrót sprawy. Mówiliemy o imitatywnym, iluzorycznym charakterze tej dzielnicy, ale sowa te maj zbyt ostateczne i stanowcze znaczenie, by określać poowiczny i niezdecydowany charakter jej rzeczywistooci. Język nasz nie posiada określeń, które by dozoway niejako stopień realnooci, definioway jej giętkość. Powiedzmy bez ogródek: fatalnooci tej dzielnicy jest, że nie w niej nie dochodzi do skutku, nic nie odbiega od swego definitivum, wszystkie ruchy rozpoczęte zawisaj w powietrzu, wszystkie gesty wyczerpuj się przedwzecie i nie mog przekroczyć pewnego martwego punktu. Mogliemy już zauważać wielk bujność i rozrzutność-w intencjach, w projektach i antycypacjach, która cechuje tę dzielnicę. Caa ona nie jest niczym innym jak fermentacją pragnień, przedwzecie wybuja i dlatego bezsiln i pust. W atmosferze nadmiernej atwooci kiekuje tutaj każda najłżejsza zachcianka, przelotne napięcie puchnie i rocenie w pust, wydęt narocel, wystrzela szara i lekka vegetacja puszystych chwastów, bezbarwnych wochatych maków, zrobiona z nieważkiej tkanki majaku i haszyszu. Nad ca dzielnic unosi się leniwy i rozwizy fluid grzechu i domy, sklepy, ludzie wydaj się niekiedy dreszczem na jej gorczkującym cieie, gęsi skórki na jej febrycznych marzeniach. Nigdzie, jak tu, nie czujemy się tak zagrożeni możliwoociami, wstrząsieniami bliskooci spienienia, pobladli i bezwadni rozkosznym truchleniem ziszczenia. Lecz na tym się też kończy. Przekroczywszy pewien punkt napięcia, przypyw zatrzymuje się i cofa, atmosfera gaecie i przekwita, możliwooci więdni i rozpadaj się w nicoość, oszalałe szare maki ekscytacji rozsypuj się w popiół. Będziemy wiecznie żaowali, żeemy wtedy wyszli na chwilę z magazynu konfekcji podejrzanej konduity. Nigdy nie trafimy już doń z powrotem. Będziemy bdzili od szyldu do szyldu i mylili się setki razy. Zwiedzimy dziesiątki magazynów, trafimy do cakiem podobnych, będziemy wędrowali przez szpalery księzek, wertowali czasopisma i druki, konferowali dugo

i zawile z panienkami o nadmiernym pigmentcie i skażonej piéknocci, które nie potrafi zrozumieæ naszych życzeñ. Bédziemy sié wikali w nieporozumieniach, a¿ caa nasza gorczka i podniecenie ulotni sié w niepotrzednym wysiku, w straconej na próżno gonitwie. Nasze nadzieje byy nieporozumieniem, dwuznaczny wyglód lokalu i su¿by- pozorem, konfekcja bya prawdziw konfekcj, a subiekt nie mia ¿adnych ukrytych intencyj. Ówiat kobiecy Ulicy Krokodylej odznacza sié cakiem miernym zepsuciem, zaguszonym grubymi warstwami przesdów moralnych i banalnej pospolitocci. W tym mieócie taniego materiau ludzkiego brak tak¿e wybudocci instynktu, brak niezwykych i ciemnych namiétnocci. Ulica Krokodyli bya koncesj naszego miasta na rzecz nowoczesnocci i zepsucia wielkomijskiego. Widocznie nie staa nas byo na nic innego jak na papierow imitacjê, jak na fotomonta¿ zo¿ony z wycinków zle¿aych, zeszorocznych gazet.

KARAKONY Byo to w okresie szarych dni, które nastpiy po ówietnej kolorowocci genialnej epoki mego ojca. Byy to dugie tygodnie depresji, ciê¿kie tygodnie bez niedziel i ówit, przy zamkniétym niebie i w zubo¿aym krajobrazie. Ojca ju¿ wówczas nie byo. Górne pokoje wysprztano i wynajéto pewnej telefonistce. Z caego ptasiego gospodarstwa pozosta nam jedyny egzemplarz, wypchany kondor, stojcy na póce w salonie. W chodnym pómrroku zamkniétych firanek sta on tam, jak za ¿ycia, na jednej nodze, w pozie buddyjskiego médrca, a gorzka jego, wyscha twarz ascety skamieniaa w wyraz ostatecznej obojétnocci i abnegacji. Oczy wypady, a przez wypakane, zawe orbity sypay sié trociny. Tylko rogowate egipskie narocce na nagim potê¿nym dziobie i na ysey szyi, narocce i gruzy spowiaobékitnej barwy nadaway tej starczej gowie coe dostojnie hieratycznego. Pierzasty habit jego by ju¿ w wielu miejscach prze¿arty przez mole i gubi miékkie, szare pierze, które Adela raz w tygodniu wymiataa wraz z bezimiennym kurzem pokoju. W wyysiaych miejscach widaæ byo workowe, grube pótno, z którego wyazyi kaki konopne. Miaem ukryty ¿al do matki za atwoocæ, z jak przesza do porzdku dziennego nad strat ojca. Nigdy go nie kochaa-myoclaem-a poniewa¿ ojciec nie by zakorzeniony w sercu ¿adnej kobiety, przeto nie móg te¿ wróceæ w ¿adn realnocæ i unosi sié wiecznie na peryferii ¿ycia, w pórealnych regionach, na krawêdziach rzeczywistosci. Nawet na uczciw obywatelsk óemieræ nie zasu¿y sobie-myoclaem-wszystko u niego musiao, byæ dziwaczne i wtpliwe. Postanowiem w stosownej chwili zaskoczyæ matkê otwart rozmow. Owego dnia (by ciê¿ki dzieñ zimowy i od rana ju¿ sypa sié miékki puch zmierzchu) matka miaa migrenê i le¿aa na sofie samotnie w salonie. W tym rzadko odwiedzanym, paradnym pokoju panowa od czasu znikniécia ojca wzorowy porzdek, pielégnowany woskiem i szczotkami przez Adelê. Meble przykryte byy pokrowcami; wszystkie sprzety podday sié ¿elaznej dyscyplinie, jak Adela roztoczya nad tym pokojem. Tylko pék piór pawich, stojcych w wazie na komodzie, nie da sié utrzymaæ w ryzach. By to element swawolny, niebezpieczny, o nieuchwytniej rewolucyjnocci, jak rozhlukana klasa gimnazjastek, pena dewocji w oczy, a rozpustnej swawoli poza oczyma. Ówidroway te oczy dzieñ cay i wierciy dziury w óecianach, mrugay, toczyy sié, trzepocæ rzésami, z palcem przy

ustach, jedne przez drugie, pene chichotu i psoty. Napeniay pokój  
ćwiergotem i szeptem, rozsypyway siê, jak motyle, dookoła  
wieloramiennej lampy, uderzay tumem barwnym w matowe, starcze dziurki  
od kluczy. Nawet w obecności matki, leżącej z zawizaną gówą na sofie,  
nie mogły się powstrzymać, robiły perskie oczko, dawały sobie znaki,  
mówiły niemy, kolorowym alfabetem, penym sekretnych znaczeń. Irytował  
mnie to szydercze porozumienie, ta migotliwa zмова poza moimi plecami. Z  
kolanami przyciśniętymi do sofę matki, badając dwoma palcami, jakby w  
zamysłowaniu, delikatną materię jej szlafroka, rzekłem niby mimochodem:–  
Chciałem cię już od dawna zapytać: prawda, czy to jest on?–I chociaż  
nie wskazałem nawet spojrzeniem na kondora, matka odgadła od razu,  
zmieszała się bardzo i spuściła oczy. Dałem umyślnie upłynąć chwili,  
żeby wykosztowała jej zmieszanie, po czym z całym spokojem, opanowując  
wzbierający gniew, spytałem:–Jaki sens mają w takim razie te wszystkie  
plotki i kamstwa, które rozsiewasz o ojcu? Lecz jej rysy, które w  
pierwszej chwili rozpadły się byty w panice, zaczęły się znowu  
porządkować.–Jakie kamstwa?–spytała mrugając oczyma, które były  
puste, nalane ciemnym bękitem, bez białki.–Znam je od Adeli–rzekłem  
– ale wiem, czy pochodzi od ciebie; chcę wiedzieć prawdę. Usta jej drżały  
lekką, Yrenice, unikając mego wzroku, powędrowały w którąś stronę.–Nie  
kamaam–rzeka, a usta– jej napęczniały i stały się miękkie zarazem.  
Uczułem, czy mnie kokietuje jak kobieta mężczyźni.–Z tymi karakoniemi to  
prawda–sam przecież pamiętasz...–Zmieszałem się. Pamiętałem w  
istocie tę inwazję karakonów, ten zalew czarnego rojowiska, które  
napeniało ciemnością nocną, pajęczną bieganin. Wszystkie szpary pene  
były drgających wóś, każda szczelina mogła wystrzelić z naga  
karakonem, z każdą dego pęknięcia podogi mogła złączyć się ta czarna  
byskawica, lecała oszalałym zygżakiem po podłodze. Ach, ten dziki obłęd  
popochu, pisany byszczem, czarną linią na tablicy podogi. Ach, te  
krzyki grozy ojca, skaczącego z krzesła na krzesło z dzirytem w ręku.  
Nie przyjmując jada ani napoju, z wypiekami gorczki na twarzy, z  
konwulsyjną wstrętą wrył dookoła ust, ojciec mój zdziwiał zupełnie. Jasne  
było, czy tego napięcia nienawistości i adeny organizm długo wytrzymał nie  
może. Straszliwa odraza zamieniała jego twarz w stęploną maskę tragiczną,  
w której tylko Yrenice, ukryte za dolną powieką, leżały na czatach,  
napięte jak cięciwy, w wiecznej podejrzliwości. Z dzikim wrzaskiem  
zrywała się nagle z siedzenia, leciała na oścież w którąś stronę i już  
podnosiła dzirynt, na którym utkwiony ogromny karakon przebiegał  
rozpaczliwie gmatwaniną swych nóg. Adela przychodziła wówczas błędem ze  
zgrozy z pomocą i odbierała lancę wraz z utkwionym trofeum, aby ją  
utopiła w cebryku. Już wówczas jednak nie umiałbym powiedzieć, czy  
obrazy te zaszczytowały mi opowiadania Adeli, czy też sam byłem ich  
świadkiem. Ojciec mój nie posiadał już wtedy tej siły odpornej, która  
zdrowych ludzi broni od fascynacji wstrętu. Zamiast odgraniczyć się do  
straszliwej siły atrakcyjnej tej fascynacji, ojciec mój, wydany na up  
szau, wpływała w niego coraz bardziej. Smutne skutki nie dały długo  
na siebie czekać. Wnet pojawiły się pierwsze podejrzane znaki, które  
napeniły nas przerażeniem i smutkiem. Zachowanie ojca zmieniło się.  
Sza jego, euforia jego podniecenia przygasa. W ruchach i mimice jego  
się zdradzały znaki zęgo sumienia. Zaczęły nas unikać. Kryły się dzień

cay po ktach, w szafach, pod pierzyn. .Widziaem go nieraz, jak w zamyceleniu oglada wasne rêce, bada konsystencjê skóry, paznokci, na których wystêpowaæ zaczêy czarne plamy, jak uski karakona. W dzieñ opiera siê jeszcze ostatkami si, walczy, ale w nocy fascynacja uderzaa nañ potêżnymi arakami. Widziaem go pÓŸn noc, w œwietle œwiecy stojcej na pododze. Mój ojciec leża na ziemi nagi, popstrzony czarnymi plamami totemu, pokreœelony liniami Ÿeber, fantastycznym rysunkiem przecœwiecajcej na zewntrz anatomii, leża na czworakach, opêtany fascynacj awersji, która go w cigaa w gb swych zawiych dróg. Mój ojciec porusza siê wieloczonkowym, skomplikowanym ruchem dziwnego rytuaau, w którym ze zgroz poznaem imitacjê ceremoniau karakoniego. Od tego czasu wyrzekliœmy siê ojca. Podobieñstwo do karakona wystêpowao z dniem kaŸdym wyraŸniej–mój ojciec zamienia siê w karakona. Zaczêliœmy siê przyzwyczajaæ do tego. Widywaliœmy go coraz rzadziej, caymi tygodniami znika gdzieœ na swych karakonich drogach– przestaliœmy go odróŸniaæ, zla siê w zupenoœci z tym czarnym

niesamowitym plemieniem. Kto móg powiedzieæ, czy Ÿy gdzieœ jeszcze w jakiejœ szparze podogi, czy przebiega nocami pokoje, zapłtany w afery karakonie, czy teŸ by moŸe miêdzy tymi martwymi owadami, które Adela co rana znaj-dowaa brzuchem do góry leŸce i najeŸone nogami i które ze wstrêtem braa na œmietniczki i wyrzucaa?–A jednak–powiedziaem zdetonowany–jestem pewny, Ÿe ten kondor to on.–Matka spojrzaa na mnie spod rzês:–Nie drêcz mnie, drogi–mówiam ci juŸ przecieŸ, Ÿe ojciec podróŸuje jako komiwojaŸer po kraju–pracieŸ wiesz, Ÿe czasem w nocy przyjeŸdŸa do domu, aŸeby przed œwitem jeszcze dalej odjechaæ.

WICHURA Tej dugiej i pustej zimy obrodzia ciemnoœæ w naszym mieœcie ogromnym, stokrotnym urodzajem. Zbyt dugo snadŸ nie sprztano na strychach i w rupieciarniach, staczano garnki na garnkach i flaszki na flaszkach, pozwalano narastaæ bez koñca pustym bateriom butelek. Tam, w tych spalonych, wielobelkowych lasach strychów i dachów ciemnoœæ zaczêa siê wyradzaæ i dziko fermentowaæ. Tam zaczêy siê te czarne sejmy garnków, te wiecowania gadatliwe i puste, te bekotliwe flaszkowania, bulgoty butli i baniek. AŸ pewnej nocy wezbray pod gontowymi przestworami falangi garnków i flaszek i popynêy wielkim stoczonym ludem na miasto. Strychy, wystrychniête ze strychów, rozprzestrzeniay siê jedne z drugich i wystrzelay czarnymi szpalerami, a przez przestronne ich echa przebiegay kawalkady tramów i belek, lansady drewnianych kozów, klêkajcych na jodowe kolana, aŸeby wypadszy na wolnoœæ, napieniaæ przestwory nocy galopem krokwi i zgiêkiem patwi i bantów. Wtedy to wylay siê te czarne rzeki, wêdrówki beczek i konwi, i pynêy przez noce. Czarne ich, poyskliwe, gwarne zbiegowiska oblegay miasto. Nocami mrowi siê ten ciemny zgiêk naczyñ i napiera jak armie rozgadanych ryb, niepowstrzymany najazd pyskujcych skopców i bredzcych cebrów. Dudnic dnami, piêtrzyy siê wiadra, beczki i konwie, dynday siê gliniane stgwie zdunów, stare kapeluchy i cylindry dandysów gramoliy siê jedna na drugie, rosnc w niebo kolumnami, które siê rozpaday. I wszystkie koatay niezgrabnie kokami drewnianych jêzyków, mey nieudolnie w drewnianych gêbach bekot kltw

i obelg, bluŹnic botem na caej przestrzeni nocy. A Ź do bluŹniy siē,  
doklēy swego. Przywoane rechetem naczyŹŹ, rozplotkowanym od brzegu do  
brzegu, nadeszy wreszcie karawany, nadcignēy potēŹne tabory wichru i  
stanēy nad noc. Ogromne obozowisko, czarny ruchomy amfiteatr zstēpowaa  
zacz w potēŹnych krēgach ku miastu. I wybucha ciemnoœœ ogromn  
wzburzon wichur i szalaa przez trzy dni i trzy noce...–Nie  
pōjdiesz dzie do szkoy–rzeka rano matka–jest straszna wichura na  
dworze.–W pokoju unosi siē delikatny welon dymu, pachncy Źywic. Piec  
wy i gwizda, jak gdyby uwizana w nim bya caa sfora psów czy  
demonów. Wielki bohomasz, wymalowany na jego pēkatym brzuchu, wykrzywia  
siē kolorowym grymasem i fantastycznia wzdētymi policzkami. Pobiegem  
boso do okna. Niebo wydmuchane byo wzduŹ i wszierz wiatrami.  
Srebrzystobiae i przestronne, porysowane byo w linie si, natēŹone do  
pēkniēcia, w srogie bruzdy, jakby zastyge Źy cyny i oowiu.  
Podzielone na pola energetyczne i drŹce od napiēœ, pene byo utajonej  
dynamiki. Rysoway siē w nim diagramy wichury, ktōra sama niewidoczna i  
nieuchwytna, adowaa krajobraz potēg. Nie widziao siē jej. Poznawao  
siē j po domach, po dachach, w ktōre wjeŹdŹaa jej furia. Jeden po  
drugim strychy zdaway siē rosnœ i wybuchaœ szaleŹstwem, gdy wstēpowaa  
w nie jej sia. Ogaacaa place, zostawiaa za sob na ulicach bia  
pustkē, zamiataa cae poacie rynku do czysta. Ledwie tu i ōwdzie gi  
siē pod ni i trzepota, uczepiony wēga domu, samotny czowiek. Cay  
plac rynkowy zdawa siē wybrzuszaœ i lœniaœ pust ysin pod jej  
potēŹnymi przelotami. Na niebie wydmucha wiatr zimne i martwe kolory,  
grynszpanowe, ŹŹte i liliowe smugi, dalekie sklepienia i arkady swego  
labiryntu. Dachy stay pod tymi niebami czarne i krzywe, pene  
niecierpliwoœci i oczekiwania. Te, w ktōre wstpi wicher, wstaway w  
natchnieniu, przerastay ssiednie domy i prorokoway pod rozwichrznym  
niebem. Potem opaday i gasy nie mogc duŹej zatrzymaa potēŹnego tchu,  
ktōry lecia dalej i napenia cay przestwŹr zgiēkiem i przeraŹeniem.  
I znŹw inne domy wstaway z krzykiem, w paroksyzmie jasnowidzenia, i  
zwiadstaway. Ogromne buki koo kocœcia stay z wniesionymi rēkami, jak  
œwiadkowie wstrzsaŹcych objawieŹŹ, i krzyczay, krzyczay. Dalej, za  
dachami rynku, widziaem dalekie mury ogniowe, nagie œciany szczytowe  
przedmieœcia. Wspinay siē jeden nad drugi i rosy, zeszywniaœ z  
przeraŹenia i osupiaœ. Daleki, zimny, czerwony odblysk zabarwia je  
pŹŹnymi kolorami. Nie jedlicemy tego dnia obiadu, bo ogieŹ w kuchni  
wraca kēbami dymu do izby. W pokojach byo zimno i pachniao wiatrem.  
Okoo drugiej po poudniu wybuch na przedmieœciu poŹar i rozszerza siē  
gwatownie. Matka z Adel zaczēy pakowaœ pocœciel, futra i kosztownoœci.  
Nadesza noc. Wicher wzmŹg siē na sile i gwatownoœci, rozrŹs siē  
niepomierne i obj cay przestwŹr. JuŹ teraz nie nawiedza domŹw i  
dachŹw, ale wybudowa nad miastem wielopiētrowy, wielokrotny przestwŹr,  
czarny labirynt, rosncy w nieskoŹczonych kondygnacŹach. Z tego  
labiryntu wystrzela caymi galeriami pokojŹw, wyprowadza piorunem  
skrzyda i trakty, toczy z hukiem dugie amfilady, a potem dawa siē  
zapadaœ tym wymaginowanym piētrom, sklepieniom i kazamatom i wzbija  
siē jeszcze wyŹej, ksztatujc sam bezforemny bezmiar swym natchnieniem.  
PokŹj drŹa z lekka, obrazy na œcianach brzēczay. Szyby lœniy siē  
tustym odblyskiem lampy. Firanki na oknie wisiay wzdēte i pene

tchnienia tej burzliwej nocy. Przypomnieliśmy sobie, że ojca od rana nie widziano. Wczesnym rankiem, domyślaliśmy się, musia udać się do sklepu, gdzie go zaskóczya wichura, odcinając mu powrót.–Cay dzień nic nie jad–biadaa matka. Starszy subiekt Teodor podj się wyprawiać w noc i wichurê, żeby zanieść mu posiek. Brat mój przycy się do wyprawy. Okutani w wielkie niedŹwiedzie futra, obciŹyli kieszenie Źelazkami i moŹdzierzami, balastem, który mia zapobiec porwaniu ich przez wichurê. OstroŹnie otworzono drzwi prowadzce w noc. Zaledwie subiekt i brat mój z wzdêtymi paszczami wkroczyli jedn nog w ciemnoœæ, noc ich poknêa zaraz na progu domu. Wicher zmy momentalnie celad ich wyjœcia. Nie widaœ byo przez okno nawet latarki, któr ze sob zabrali. Pochonwszy ich, wicher na chwilê przycich. Adela z matk próbowa na nowo rozpaliać ogieñ pod kuchni. Zapaki gasy, przez drzwiczki dmuchao popioem i sadz. Stalciemy pod drzwiami i nasuchiwali. W lamentach wichru dawał się syczeć wszelkie gasy, perswazje, nawoływania i gawêdy. Zdawał się nam, że syszemy woanie o pomoc ojca zabkanego w wichurze, to znowu, że brat z Teodorem gwarz beztrosko pod drzwiami. WraŹenie byo tak udzce, że Adela otworzya drzwi i w samej rzeczy ujrzaa Teodora i brata mego, wynurzających się z trudem z wichury, w której tkwili po pachy. Weszli zdyszani do sieni, zaciskając z wysikiem drzwi za sob. Przez chwilê musieli wesprzeć się o odrzwia, tak silnie szturmowa wicher do bramy. Wreszcie zasunêli rygiel i wiatr pogna dalej. Opowiadali bezadnie o nocy, o wichurze. Ich futra, nasike wiatrem, pachniał teraz powietrzem. Trzepotali powiekami w œwietle; ich oczy, pene jeszcze nocy, broczyły ciemnoœci za kaŹdym uderzeniem powiek. Nie mogli dojœæ do sklepu, zgubili drogê i ledwo trafili z powrotem. Nie poznawali miasta, wszystkie ulice byy jak przestawione. Matka podejrzewaa, że kamali. W istocie caa ta scena sprawiaa wraŹenie,

jakby przez ten kwadrans stali w ciemnoœci pod oknem, nie oddalając się wcale. A moŹe naprawdê nie byo juŹ miasta i rynku, a wicher i noc otaczay nasz dom tylko ciemnymi kulisami, penymi wycia, œwistu i jêków. MoŹe nie byo wcale tych ogromnych i Źaosnych przestrzeni, które nam wicher sugerowa, moŹe nie byo wcale tych opakanych labiryntów, tych wielookiennych traktów i korytarzy, na których gra wicher, jak na długich czarnych fletach. Coraz bardziej umacniao się w nas przekonanie, że caa ta burza bya tylko donkiszoteri nocn, imitując na wskiej przestrzeni kulis tragiczne bezmiar, kosmiczn bezdomnoœæ i sieroctwo wichury. Coraz czêœciej otwieray się teraz drzwi sieni i wpuszczay okutanego w opoñcze i szale goœcia. Zziajany ssiad lub znajomy wywija się powoli z chustek, paszczy i wyrzuca z siebie zdyszczanym gosem opowiadania, urywane bezadnie sowa, które fantastycznie powiêkszay, kamliwie przesadzay bezmiar nocy. Siedzieliœmy wszyscy w jasno œwietlonej kuchni. Za ogniskiem kuchennym i czarnym, szerokim okapem komina prowadziło parê stopni do drzwi strychu. Na tych schodkach siedzia starszy subiekt Teodor i nasuchiwa, jak strych gra od wichru. Sysza, jak w pauzach wichury miechy Źeber strychowych skaday się w fady i dach wiotcza i zwiisa jak ogromne puca, z których uciek oddech, to znowu nabiera tchu, nastawia się palisadami krokwi, rós jak sklepienia gotyckie,

rozprzestrzenia się lasem belek, penym stokrotnego echa, i hucza jak pudo ogromnych basów. Ale potem zapominalicemy o wichurze, Adela tuka cynamon w dŹwiêcznym moŹdzierz. Ciotka Perazja przysza w odwiedzin. Drobn, ruchliwa i pena zabiegliwoœci, z koronk czarnego szala na gowie, zaczêa krztaæ siê po kuchni, pomagajc Adeli. Adela oskubaa koguta. Ciotka Perazja zapalia pod okapem komina garœæ papierów i szerokie paty pomienia wzlatyway z nich w czarn czeluœæ. Adela, trzymajc koguta za szyjê, uniosa go nad pomieñ, a¿eby opaliaæ na nim resztê pierza. Kogut zatrzepota nagle w ogniu skrzydami, zapia i spon. Wtedy ciotka Perazja zaczêa siê kóciaæ, klæ i zorzeczyæ. Trzêsc siê ze zoœci, wygra¿aa rêkami Adeli i matce. Nie rozumiaem, o co jej chodzi, a ona zacietrzewiaa siê coraz bardziej w gniewie i staa siê jednym pêkiem gestykulacji i zorzeczeñ. Zdawao siê, ¿e w paroksyzmie zoœci rozgestykuje siê na czêœci, ¿e rozpadnie siê, podzieli, rozbiegnie w sto pajków, rozgaêzi siê po pododze czarnym, migotliwym pêkiem oszalaych karakonach biegów. Zamiast tego zaczêa raptownie maleæ, kurczyæ siê, wci¿ roztrzêsiona i rozsypujca siê przekleñstwami. Z naga podreptaa, zgarbiona i maa, w kt kuchni, gdzie le¿ay drwa na opa i, klnc i kaszlc, zaczêa gorczkowo przebieraæ wœród dŹwiêcznych drewien, a¿ znalazaa dwie cienkie, ¿óte drzazgi. Pochwycia je latajcymi ze wzburzenia rêkami, przymierzyc do nóg, po czym wspiêa siê na nie, jak na szczuda, i zaczêa na tych ¿ótych kulach chodziæ, stukoc po deskach, biegaa tam i z powrotem wzdu¿ skocnej linii podogi, coraz szybciej i szybciej, potem wbiega na awkê jodow, kuœtykajc na dudniczych deskach, a stamtã na póké z talerzami, dŹwiêczn, drewnian póké obiegajc œciany kuchni, i biega po niej, kolankujc na szczudowych kulach, by wreszcie gdzieœ w kcie, malejc coraz bardziej, szernieæ, zwinæ siê jak zwiêdy, spalony papier, zetliaæ siê w patek popiou, skruszyæ w proch i w nicooæ. Stalicemy wszyscy bezradni wobec tej szalejcej furii zoœci, która sama siebie trawia i po¿eraa. Z ubolewaniem patrzylicemy na smutny przebieg tego paroksyzmu i z pewn ulg wrócilicemy do naszych zajêæ, gdy ¿aosny ten proces dobieg swego naturalnego koñca. Adela zadzwonia znowu moŹdzierzem, tukc cynamon, matka cignêa dalej przerwan rozmowê, a subiekt Teodor, nasuchujc proroctw strychowych, stroi œmieszne grymasy, podnosi wysoko brwi i œmia siê do siebie.

NOC WIELKIEGO SEZONU Ka¿dy wie, ¿e w szeregu zwyklych, normalnych lat rodzi niekiedy zdziwaczay czas ze swego ona lata inne, lata osobliwe, lata wyrodne, którym–jak szósty, may palec u rêki–wyrasta kêdyœ trzynasty, faszywy miesic. Mówimy faszywy, gdy¿ rzadko dochodzi on do penego rozwoju. Jak dzieci póŹno spodzone, pozostaje on w tyle ze wzrostem, miesic garbusek, odroœel w poowie uwiêda i raczej domyoelna ni¿ rzeczywista. Winna jest temu starcza niepowœcigliwoœæ lata, jego rozpuszna i póŹna ¿ywotnoœæ. Bywa czasem, ¿e sierpieñ minie, a stary gruby pieñ lata rodzi z przyzwyczajenia jeszcze dalej, pêdzi ze swego próchna te dni-dziczki, dni-chwasty, jaowe i idiotyczne, dorzuca na dokadkê, za darmo, dni-kaczany, puste i niejadalne–dni bia, zdziwione i niepotrzebne. Wyrastaj one, nieregularne i nierówne, nie

wyksztacone i zroceniête z sob, jak palce potworkowatej rêki,  
pczkujce i zwiniête w figê. Inni porównywj te dni do apokryfów,  
wsuniêtych potajemnie miêdzy rozdziaj wielkiej ksiêgi roku, do  
palimpsestów, skrycie wczonych pomiêdzy jej stronice, albo do tych  
biajch nie zadrukowanych kartek, na których oczy, naczytane do syta i  
pene treœci, broczyæ mog obrazami i gubiaæ kolory na tych pustych  
stronicach, coraz bladziej i bladziej, a¿eby wypoczæ na ich nicococi,  
zanim wcigniête zostan w labirynty nowych przygód i rozdziaów. Ach,  
ten stary, po¿óky romans roku, ta wielka, rozpadajca siê ksiêga  
kalendarza! Le¿y ona sobie zapomniana gdzieœ w archiwach czasu, a treœæ  
jej rocenie dalej miêdzy okadkami, pêcznije bez ustanku od gadulstwa  
miesiêcy, od szybkiego samoródtwa blagi, od bajania i marzeñ, które siê  
w niej mno¿. Ach, i spisujc te nasze opowiadania, szereguj te  
historie o moim ojcu na zu¿yтым marginesie jej tekstu, czy nie oddajê  
siê tajnej nadziei, ¿e wrosn one kiedyœ niepostrze¿enie miêdzy z¿óke  
kartki tej najwspanialszej, rozsypujcej siê ksiêgi, ¿e wejð w wielki  
szelest jej stronic, który je pochonie? To, o czym tu mówiaæ bêdziemy,  
dziao siê tedy w owym trzynastym, nadliczbowym i niejako faszywym  
miesicu tego roku, na tych kilkunastu pustych kartkach wielkiej kroniki  
kalendarza. Ranki byy podówczas dziwnie cierpkie i orzeŸwiajce. Po  
uspokojonym i chodniejszym tempie czasu, po nowym cakiem zapachu  
powietrza, po odmiennej konsystencji œwiata poznaæ byo, ¿e weszo siê  
w inn seriê dni, w now okolicê Bo¿ego Roku. Gos dr¿a pod tymi nowymi  
niebami dŸwiêcznie i œwie¿o jak w nowym jeszcze i pustym mieszkaniu,  
penym zapachu lakieru, farb, rzeczy zaczêtych i nie wypróbowanych. Z  
dziwnym wzruszeniem próbowao siê nowego echa, napoczynaø siê je z  
ciekawococi, jak w chodny i trzeŸwy poranek babkê do kawy w przeddzieñ  
podró¿y. Ojciec mój siedzia znowu w tylnym kontuarze sklepu, w maej,  
sklepionej izbie, pokratkowanej jak ul w wielokomórkowe registratury i  
uszczcej siê bez koñca warstwami papieru, listów i faktur. Z szelestu  
arkuszy, z nieskoñczonego kartkowania papierów wyrastaa kratkowana i  
pusta egzystencja tego pokoju, z nieustannego przekadania plików  
odnawiaa siê w powietrzu z niezliczonych nagówków firmowych apoteoza w  
formie miasta fabrycznego, widzianego z lotu ptaka, naje¿onego dymicymi  
kominami, otoczonego rzêdami medali i ujêtego w wywijasy i zakrêty  
pompatycznych et i Comp. Tam siedzia ojciec, jak w ptaszarni, na  
wysokim stoku, a goêbniki registratur szeleococij plikami papierów i  
wszystkie gniazda i dziuple pene byy œwiergotu cyfr. Gb wielkiego  
sklepu ciemniaa i wzbogacaa siê z dnia na dzieñ zapasami sukna,  
szewiotów, aksamitów i kortów. W ciemnych pókach, tych spichrzach i  
lamusach chodnej, pilceniowej barwnococi, procentowaa stokrotnie ciemna,  
odstaa korowocœæ rzeczy, mno¿y siê i syci potê¿ny kapita jesieni. Tam  
rós i ciemnia ten kapita i rozsiada siê coraz szerzej na pókach,  
jak na galeriach jakiegoœ wielkiego teatru, uzupeniajç siê jeszcze i  
pomna¿ajç ka¿dego rana nowymi adunkami towaru, który w skrzyniach i  
pakach wraz z rannym chodem wnosili na niedŸwiedzich barach stêkajcy,  
brodaci tragarze w oparach œwie¿ococi jesiennej i wódki. Subiekci  
wyadowywali te nowe zapasy syccych bawatnych kolorów i wypeniali  
nimi, kitowali starannie wszystkie szpary i luki wysokich szaf. By to  
rejestr olbrzymi wszelakich kolorów jesieni, uo¿ony warstwami,

usortowany odcieniami, idcy w dó i w górê, jak po dŷwiêcznych schodach, po gamach wszystkich oktaw barwnych. Zaczyna siê u dou i próbowa jêkliwe i niecemiao altowych spezoœeci i pótonów, przechodzi potem do spowiaych popioów dali, do gobelinowych bêkitów i rosnc ku górze coraz szerszymi akordami, dochodzi do ciemnych granatów, do indyga lasów dalekich i do pluszu parków szumicych, a¿eby potem poprzez wszystkie ochry, sangwiny, rudocœci i sepie wejœæ w szelestny cieñ wiêdncyh ogrodów i dojœæ do ciemnego zapachu grzybów, do tchnienia próchna w gêbiach nocy jesiennej i do guczego akompaniamentu najciemniejszych basów. Ojciec mój szed wzdu¿ tych arsenaów sukiennej jesieni i uspokaja i ucisza te masy, ich wzbierajc moc, spokojn potêgê Pory. Chcia jak najdu¿ej utrzymaæ w caocœci te rezerwy zamagazynowanej barwnocœci. Ba siê amaæ, wymieniaæ na gotówkê ten fundusz ¿elazny jesieni. Ale wiedzia, czu, ¿e przyjdzie czas i wicher jesienny, pustoszczy i ciepny wicher, powieje nad tymi szafami i wtedy puszcz one i nic nie zdoa powstrzymaæ ich wylewu, tych strumieni kolorowocœci, którymi wybuchn na miasto cae. Przychodzia pora Wielkiego Sezonu. O¿ywiay siê ulice. O szóstej godzinie po poudniu miasto zakwitao gorczk, domy dostaway wypieków, a ludzie wêdrowali o¿ywieni jakimœ wewnêtrznym ogniem, naszminkowani i ubarwieni jaskrawo, z oczyma byszczycymi jakœ odœwiêtn, piêkn i z febr. Na bocznych uliczkach, w cichych zaukach, uchodzcych ju¿ w wieczorn dzielnicê, miasto byo puste. Tylko dzieci bawiy siê na placykach pod balkonami, bawiy siê bez tchu, haaceliwie i nedorzecznie. Przykaday mae pêcherzyki do ust, a¿eby wydmuchaæ je i naindyczyæ siê nagle jaskrawo w wielkie, gulgoce, rozpluskane narocœle albo wykoguciaæ siê w gupi koguci maskê, czerwón i piejc, w kolorowe jesienne maskary fantastyczne i absurdalne. Zdawao siê, ¿e tak nadête i piejce wznios siê w powietrze dugimi kolorowymi ańcuchami i jak jesienne klucze ptaków przecigaæ bêd nad miastem–fantastyczne flotylle z bibuki i pogody jesiennej. Albo woziy siê wœród krzyków na maych zgiekliwych wózkach, grajcych kolorowym turkotem kóek, szprych i dyszli. Wózki zje¿d¿ay naadowane ich krzykiem i staczay siê w dó ulicy a¿ do nisko rozlanej, ¿ótej rzeczki wieczornej, gdzie rozpaday siê na gruz kr¿ków, koków i patyczków. I podczas gdy zabawy dzieci staway siê coraz bardziej haaceliwe i spltane, wypieki miasta ciemniay i zakwitay purpur, nagle œwiat cay zaczyna wiêdnæ i czernieæ i szybko wydziela siê zeñ majaczliwy zmierzch, którym zara¿ay siê wszystkie rzeczy. Zdradliwie i jadowicie szerzya siê ta zaraza zmierzchu wokoo,

sza od rzeczy do rzeczy, a czego dotknêa, to wnet butwiao, czerniao, rozpadao siê w próchno. Ludzie uciekali przed zmierzchem w cichym popochu i naraz dosiêga ich ten trd, i wysypywa siê ciemn wysypk na czole, i tracili twarze, które odpaday wielkimi, bezkszatanymi plamami, i szli dalej, ju¿ bez rysów, bez oczu, gubic po drodze maskê po masce, tak ¿e zmierzch roi siê od tych larw porzuconych, sypicych siê za ich ucieczk. Potem zaczynao wszystko zarastaæ czarn, próchniejc kor, uszczc siê wielkimi patami, chorymi strupami ciemnocœci. A gdy w dole wszystko rozprzêgo siê i szo wniwecz w tej cichej zamieszce, w panice prêdkiego rozkadu, w górze utrzymywa siê i

rós coraz wyżej milczy alarm zorzy, drgający powietrzem miliona cichych dzwonek, wzbierających wznoszących miliona cichych skowronków leccych razem w jedną wielką, srebrną nieskończoność. Potem była już nagle noc – wielka noc, rosła jeszcze podmuchami wiatru, które ją rozszerzały. W jej wielokrotnym labiryncie wyupane były gniazda jasne: sklepy – wielkie, kolorowe latarnie, pełne spiętrzonego towaru i zgieku kupujących. Przez jasne szyby tych latarni można było odczytać zgiekliwy i pełen dziwnego ceremoniału obrzęd zakupów jesiennych. Ta wielka, fadzysta noc jesienna, rosła cieniami, rozszerzona wiatrami, kryła w swych ciemnych fadach jasne kieszenie, woreczki z kolorowym drobiazgiem, z przetykaniem towarami czekoladek, keksów, kolonialnej pastrokacizny. Te budki i kramiki, sklecone z pudełek po cukrach, wytapetowane jaskrawo reklamami czekolad, pełne mydeł, wesołej tandety, zoconych bahostek, cynfolii, trbek, andrutów i kolorowych miętówek, były stacjami lekkomyślności, grzechotkami bez troski, rozszanymi na wiszarach ogromnej, labiryntowej, rozopotanej wiatrami nocy. Wielkie i ciemne tury pływające w ciemności, w hałaśliwym zmieszaniu, w szurgocie tysięcy nóg, w gwarze tysięcy ust – rojna, splątana wędrówka, cignęła arteriami jesiennego miasta. Tak płynęła ta rzeka, pełna gwaru, ciemnych spojrzeń, chytrych uprzedzeń, pokawakowana rozmowami, posiekana gawędami, wielką miazgą plotek, oświeceniów i zgieku. Zdawało się, że to ruszyły tumany jesienne, suche makówki sypące makiem – gowięgrzechotki, ludzie – koatki. Mój ojciec chodził zdenerwowany i kolorowy od wypieków, z byszczykami oczyma, w jasno oświetlonym sklepie, i nasuchiwał. Przez szyby wystawy i portalu dochodził tu z daleka szum miasta, stumiony gwar płynący ciżby. Nad ciszym sklepem pośród jasno naftowej, zwisającej z wielkiego sklepienia, i wypierającej najmniejszy oświeceniowy cień z wszystkich szpar i zakamarków. Pusta, wielka podłoga trzaskająca w ciszy i licząca w tym powietrzu wzdłuż i wszerz swe byszczyki kwadraty, szachownicę wielkich tafli, które rozmawiały ze sobą w ciszy trzaskami, odpowiadały sobie o to, to tam gołym pęknięciem. Za to sukna leżała cicha, bez gosu, w swej pilociowej puszystości i podawała sobie wzdłuż oświeceniowy cień za plecami ojca, wymieniały od szafy do szafy ciche znaki porozumiewawcze. Ojciec nasuchiwał. Jego ucho zdawało się w tej ciszy nocnej wydłużać i rozgałęziać poza okno: fantastyczny koralowiec, czerwony polip falujący w mętach nocy. Nasuchiwał i syszał. Syszał z rosnącym niepokojem daleki przypływ tumów, które nadciągały. Rozglądał się z przerażeniem po pustym sklepie. Szukał subiektów. Ale ci ciemni i rudzi aniowieś dokoła odlecieli. Pozostał on sam tylko, w trwodze przed tumanami, które wnet miały zalać ciszę sklepu plądrując hałaśliwie rzeszę i rozebrać między siebie, rozlicytować całe tę bogatą jesień, od lat zbieraną w wielkim zacisznym spichlerzu. Gdzie byli subiekci? Gdzie były te urodziwe cheruby, mające broń ciemnych, sukiennych szafców? Ojciec podejrzewał bolesny myślenie, że oto grzesz gdzieś w głębi domu z córami ludźmi. Stojąc nieruchomy i pełen troski, z byszczykami oczyma w jasnej ciszy sklepu, czuł wewnętrznym suchem, co działo się w głębi domu, w tylnych komorach wielkiej kolorowej tej latarni. Dom otwierał się przed nim, izba za izbą, komora za komorą, jak dom z kart, i widział gonitwę subiektów za Adel przez wszystkie puste i jasno oświetlone pokoje,

schodami na dół, schodami do góry, aż wymknęła się im i wpada do jasnej
 kuchni, gdzie zabarykadowała się kuchennym kredensem. Tam stała
 zdyszana, byszczka i rozbawiona, trzepocząca z ucieszeniem wielkimi
 rzęsami. Subiekci chichotali, przykucnięci pod drzwiami. Okno kuchni
 otwarte było na wielką, czarną noc, pełną rojeń i splątania. Czarne,
 uchylone szyby położyły refleksy dalekiej iluminacji. Byszczce garnki
 i butle stały nieruchomo dookoła i leżały w ciszy tuż po lewej. Adela
 wychyliła ostrożnie przez okno światła kolorowe, uszmiękowaną twarz z
 trzepoczącymi oczyma. Szukała subiektów na ciemnym podwórzu, pewna ich
 zasadzki. I oto ujrzała ich, jak wędrowali ostrożnie, gęsiego, po wąskim
 gzymsie podokiennym wzdłuż ościany piętrowa, czerwonej odbłaskiem dalekiej
 iluminacji, i skradali się do okna. Ojciec krzyknął z gniewu i rozpaczy,
 ale w tej chwili gwar głosów stał się cakiem bliski i nagle jasne okna
 sklepu zaludniły się bliskimi twarzami, wykrzywionymi ucieszeniem,
 rozgadanymi twarzami, które paszczyły nosy na leżących szybach. Ojciec
 stał się purpurowy ze wzburzenia i wskoczył na ładę. I kiedy tuż
 szturmem zdobywał tę twierdzę i wkraczał hałaśliwie do sklepu,
 ojciec mój jednym skokiem wspiął się na półki z sukniem i, uwiązł wysoko
 nad tłumem, dając się w wielki pułap z rogu i trąbi na alarm.
 Ale sklepienie nie napeniło się szumem aniołów, opiekujących na pomoc, a
 zamiast tego kałdemu jętkowi trąby odpowiada wielki, rozuciesniany chór
 tłumy.–Jakubie, handlowa! Jakubie, sprzedawa!–wołałi wszyscy, a
 wołanie to, wciąż powtarzane, rytmizowało się w chórze i przechodziło
 powoli w melodię refrenu, opiewane przez wszystkie gardła. Wtedy mój
 ojciec dał za wygraną, zeskoczył z wysokiego gzymsu i ruszył z krzykiem
 ku barykadom sukna. Wyolbrzymiony gniewem, z głosem spęczniającym w
 piękne purpurowe, wbiegł, jak walczy prorok, na szczyty sukienne i
 przeciwko nim szalał. Wpierał się całym ciałem w potężne bale weny i
 wywalał je z osady, podsuwał się pod ogromne postawy sukna i unosił je
 na ładę z guchym omotem. Bale leciały rozwijając się z opóźnieniem w
 powietrzu w ogromne chorgwie, półki wybuchały zewsząd wybuchami
 draperii, wodospadami sukna, jak pod uderzeniem Mojżeszowej łaski. Tak
 wylewały się zapasy szaf, wymiotowały gwałtownie, płynęły szerokimi
 rzekami. Wypływała barwna treść pódek, rosa, mnożyła się i zalewała
 wszystkie lady i stopy. Ościany sklepu znikły pod potężnymi formacjami
 tej sukiennej kosmogonii, pod tymi pasmami górskimi, piętrowymi się w
 potężnych masach. Otwierały się szerokie doliny wśród zboczy górskich
 i wśród szerokiego patosu wylętnych grzmiących kontynentów. Przestrzeń
 sklepu rozszerzyła się w panoramę jesiennego krajobrazu, pełną jezior i
 dali, a na tle tej sceny ojciec wędrował wśród fad i dolin
 fantastycznego Kanaanu, wędrował wielkimi krokami, z rękoma

rozkrzyżowanymi proroczko w chmurach, i kształtowała kraj uderzeniami
 natchnienia. A u dołu, u stóp tego Synaju, wyrośnięty z gniewu ojca,
 gestykulowała lud, zorzeczy i czci Baala, i handlowa. Nabierali pene
 ręce miękkich fad, drapowali się w kolorowe sukna, owijali się w
 zaimprovizowane domina i paszce i gadali bezadnie a obficie. Mój
 ojciec wyrastał nagle nad tymi grupami kupczych wydłużonych gniewem, i
 gromi z wysoka bawochwałców potężnym sowem. Potem, ponoszony
 rozpacz, wspinął się na wysokie galerie szaf, biegł obłudnie po bantach

póek, po dudniczych deskach ogoconych rusztowań, oecigany przez obrazy bezwstydney rozpusty, któr przeczują za plecami w gębi domu. Subiekci dosięgli wacenie żelaznego balkonu na wysokooci okna i wczepieni w balustradę, pochwycili wpó Adelę i wycignęli j przez okno, trzepoccc. oczyma i wlokc za sob smuke nogi w jedwabnych pończochach. Gdy ojciec mój, przerażony ohyd grzechu, wrasta gniewem swych gestów w grozê krajobrazu, w dole beztroski lud Baala oddawa się wyuzdanej wesoooci. Jakœe parodystyczna pasja, jakœe zaraza œmiechu opanowaa tã gawiedŸ. Jakœe moŸna byo Ÿdaæ powagi od nich, od tego ludu koatek i dziadków do orzechów! Jak moŸna byo Ÿdaæ zrozumienia dla wielkich trosk ojca od tych mynków, mielcych bezustannie kolorow miazgê sów! Gusi na gromy proroczego gniewu, przykucali ci handlarze w jedwabnych bekieszach maymi kupkami dookoa sfadowanych gór materii, rozstrzsajc gadatliwie wœród œmiechu zalety towaru. Ta czarna gieda roznosia na swych prãdkich jãzykach szlachetn substancjã krajobrazu, rozdrabniaa j siekanin gadania i poykaa niemal. Gdzie indziej stay grupy ydów w kolorowych chaatach, w wielkich futrzanych kopakach przed wysokimi wodospadami jasnych materii. Byli to męŸowie Wielkiego Zgromadzenia, dostojni i peni namaszczenia panowie, gadzcy dugie, pielęgnowane brody i prowadzcy wstrzemiãŸliwe i dyplomatyczne rozmowy. Ale i w tej ceremonialnej konwersacji, w spojrzaniach, które wymieniali by bysk uœmiechniętej ironii. Wœród tych grup przewija się pospolity lud, bezpostaciowy tum, gawiedŸ bez twarzy i indywidualnooci. Wypenia on niejako luki w krajobrazie, wyeciela to dzwonekami i grzechotkami bezmyœlnego gadania. By to element bazeński, roztańczony tum poliszynelów i arlekinów, który–sam bez powaŸnych intencji handlowych - doprowadza do absurdu gdziegdzie nawizujc siã tansakcje swymi bazeńskimi figlami. Stopniowo jednak, znudzony baznowaniem, wesoy ten ludek rozprasza siã w dalszych okolicach krajobrazu i tam powoli gubi siã wœród skalnych zaomów i dolin. Prawdopodobnie jeden po drugim zapaday siã te wesoki gdzieœ w szczeliny i fady terenu, jak dzieci zmęczone zabaw po ktach i zakamarkach mieszkania w noc balow. Tymczasem ojcowie miasta, męŸowie Wielkiego Synhedrionu, przechadzali siã w grupach penych powagi i godnooci i prowadzili ciche, gębokie dysputy. Rozszedzy siã po caym, owym wielkim górzystym kraju, wędrowali po dwóch, po trzech na dalekich i krętych drogach. Mae i ciemne ich sylwety zaludniay ca tã pustynn wyŸynã, nad któr zwiso ciężkie i ciemne niebo, sfadowane i chmurne, poorane w dugie równolege bruzdy, w srebrne i biae skiby, ukazujc w gębi coraz dalsze pokady swego uwarstwienia. Œwiato lampy stwarzao sztuczny dzieñ w owej krainie–dzieñ dziwny, dzieñ bez œwitu i wieczoru. Ojciec mój uspokaja siã powoli. Gniew jego ukada siã i zastyga w pokadach i warstwach krajobrazu. Siedzia teraz na galeriach wysokich póek i patrzy w jesienniejcy, rozlegly kraj. Widzia, jak na dalekich jeziorach odbywa siã poów ryb. W maleńkich upinkach ódek siedziao po dwóch rybaków, zapuszczajc sieci w wodã. Na brzegach chopcy dŸwigali na gowach kosze, pene trzepoccego siã, srebrnego poowu. Wówczas to dostrzeg, jak grupy wędrowców w oddali zadzieray gowy ku niebu, wskazujc coœ wzniesionymi rêkami. I wnet zaroi siã niebo jakœe kolorow wysypk, osypao siã falujcymi plamami, które rosy,

dojrzeway i wnet napeniy przestworze dziwnym ludem ptaków, krzycych i kuczycych w wielkich, krzyżujących się spiralach. Cae niebo wypenio się ich wzniosym lotem, opotem skrzyde, majestatycznymi liniami cichych bujań. Niektóre z nich jak ogromne bociany pynêy nieruchomo na spokojnie rozpostartych skrzydłach, inne, podobne do kolorowych pióropuszków, do barbarzyńskich trofeów, trzepotay ciêżko i niezgrabnie, ażeby utrzymaæ się na falach ciepej aury; inne wreszcie, nieudolne konglomeraty skrzyde, potêżnych nóg i oskubanych szyj, przypominay Ÿle wypchane sêpy i kondory, z których wysypuj się trociny. Byy miêdzy nimi ptaki dwugowe, ptaki wieloskrzyde, byy też i kaleki, kulejce w powietrzu jednoskrzydym, niedoêżnym lotem. Niebo stao się podobne do starego fresku, penego dziwolgów i fantastycznych zwierzt, które krzycy, wymijay się i znów wracay w kolorowych elipsach. Mój ojciec podniós się na bantach, oblany nagym blaskiem, wycign rêce, przyzywajc ptaki starym zaklêciem. Pozna je, peen wzruszenia. Byo to dalekie, zapomniane potomstwo tej ptasiej generacji, któr ongi Adela rozpêdzia na wszystkie strony nieba. Wracao teraz, zwyrodniaæ i wybujaæ, to sztuczne potomstwo, to zdegenerowane plemiê ptasie, zmarniaæ wewnêtrznie. Wystrzelone gupio wzrostem, wyogromnione nedorzecznie, byo wewntz puste i bez Ÿycia. Caa Ÿywotnoœæ tych ptaków przesza w upierzenie, wybujaa w fantastycznoœæ. Byo to jakby muzeum wycofanych rodzajów, rupieciarnia Raju ptasiego. Niektóre latay na wznak, miaj ciêżkie, niezgrabne dzioby, podobne do kódek i zamków, obciżone kolorowymi narocelami, i byy œepe. Jakêe wzruszy ojca ten powrót niespodziany, jakêe zdumiewa się nad instynktem ptasim, nad tym przywizaniem do Mistrza, które wygnany ów ród piastowa jak legendê w duszy, ażeby wreszcie po wielu generacjach, w ostatnim dniu przed wygaœniêciem plemienia pocignæ z powrotem w pradawn ojczyznê. Ale te papierowe, œepe ptaki nie mogy już poznaæ ojca. Na darmo woa na nie dawnym zaklêciem, zapomnian mow ptasi, nie syszay go i nie widziay. Nagle zagwizday kamienie w powietrzu. To wesoki, gupie i bezmyœelne plemiê, jêy celowaæ pociskami w fantastyczne niebo ptasie. Na darmo ojciec ostrzega, na darmo grozi zaklinajcymi gestami, nie dosyszano go, nie dostrzeżono. I ptaki spaday. Ugodzone pociskiem, obwisay ciêżko i wiêdy już w powietrzu. Nim doleciay do ziemi, byy już bezforemn kup pierza. W mgnieniu oka pokrya się wyżyna t dziwn, fantastyczn padlin. Zanim ojciec dobieg do miejsca rzezi, cay ten œwietny ród ptasi już leża martwy, rozciągniety na skaach. Teraz dopiero, z bliska, móg ojciec obserwowaæ ca lichotê tej zubożaej generacji, ca œmiesznoœæ jej tandetnej anatomii. Byy to ogromne wiehcie piór, wypchane byle jak starym œcierwem. U wielu nie moŸna byo wyróŸniæ gowy, gdyż pakowata ta czêœæ ciaa nie nosia Ÿadnych znamion duszy. Niektóre pokryte byy kudat, zlepion sierœci, jak Ÿubry, i

œmierdziay wstrêtnie. Inne przypominay garbate, yse, zdeche wielbdy. Inne wreszcie byy najwidoczniej z pewnego rodzaju papieru, puste w œerodku, a œwietnie kolorowe na zewntz. Niektóre okazyway się z bliska niczym innym jak wielkimi pawimi ogonami, kolorowymi wachlarzami, w które niepojętym sposobem tchniêto jakieœ pozór Ÿycia. Widziaem smutny powrót mego ojca. Sztuczny dzieñ zabarwia się już

powoli kolorami zwyczajnego poranka. W spustoszym sklepie najwyższe póki syciy siê barwami rannego nieba. Wœród fragmentów zgasego pejzażu, wœród zburzonych kulis nocnej scenerii–ojciec widzia wstajcych ze snu subiektów. Podnosili siê spomiędzy bali sukna i ziewali do sońca. W kuchni, na piêtrze, Adela, ciepá od snu i ze zmierzwionymi wosami, meá kawê na mynku, przyciskajc go do biaej piersi, od której ziarna nabieray blasku i gorca. Kot my siê w